Nakład: 30 000 egz.

Mordor • Wola • Aleje Jerozolimskie • Metro Centrum

GŁOS MORDORU

Bezpłatna gazeta dla korpoludków żyjących na ASAP'ie!

kwiecień 2018

#4

[29]

www.glosmordoru.pl

Wszystkie wydania gazety dostępne na www.glosmordoru.pl

Uwaga! Zły szef!

Jeżeli złych szefów znasz tylko z opowieści, jesteś prawdziwym szczęściarzem. Dobra relacja z przełożonym oczywiście nie gwarantuje jeszcze, że trafiłeś na pracę marzeń, ale przynajmniej omijają ciebie problemy, z jakimi musieli zmierzyć się bohaterowie poniższego tekstu.

Szefowie to zazwyczaj silne osobowości alfa. Osoby, które twardą ręką potrafią podporządkować sobie zespół pracowników. Mogą być uprzejmi i mili, jednak ich celem nadrzędnym jest przede wszystkim rozwój firmy, a dopiero później dobro pracownika. Oczywiście, że zdarzają się wyjątki, ale potwierdzają one tylko regułę. Szef musi być szefem. My mamy prawo czasami go nie lubić, a on ma prawo kompletnie się tym nie przejmować. Gorzej, gdy sprawy wymykają się spod kontroli i szef zaczyna nadużywać swojej władzy, tworząc niezdrową sytuację w firmie.

Szef, który skraca dystans

Toksyczna relacja z szefem nie musi oznaczać awantur, publicznego poniżania czy nieustannego grożenia utratą pracy. Może być subtelna i zupełnie niezauważalna dla całego zespołu.

Fajnie jest od czasu do czasu z szefem pożartować. To w końcu też człowiek i może być z niego równy gość. Gorzej, jeżeli przekracza granicę naszego komfortu i zdaje się tym kompletnie nie przejmować. Relacja z szefem, mimo wielkiej sympatii, powinna być przede wszystkim zawodowa. Jednak w wielu firmach obowiązuje zasada, że szef z pracownikami zwracają się do siebie po imieniu.

– Nigdy nie lubiłam skracania dystansu. To całe przechodzenie z szefem na „ty" jest po to, żeby podkreślić, że wszyscy w firmie jesteśmy równi, a przecież każdy wie, że to nieprawda. Poza tym szefowi łatwiej rugać pracownika, będąc z nim po imieniu, w drugą stronę to już nie działa. Mówienie szefowi na „ty", o ile nie jest moim dobrym znajomym, zawsze było dla mnie bardzo nienaturalne, ale skoro taki był nakaz, musiałam się podporządkować – mówi z uśmiechem Monika, pracownica firmy z branży marketingowej.

W małych, kilkuosobowych firmach, gdzie między szefem a jego pracownikami nie ma znaczącej różnicy wieku, takie skracanie dystansu jest całkiem zrozumiałe. Jednak w dużych korporacjach faktycznie możemy poczuć się niezręcznie, gdy musimy zwracać się jak do najlepszego kumpla do najważniejszej osoby w firmie, często o wiele starszej, której nawet dobrze nie znamy.

Szef, który ruga na forum publicznym

Krytyka jest w porządku, zwłaszcza ta uzasadniona. Szef ma prawo wymagać od swojego pracownika, aby przykładał się do obowiązków służbowych. Konstruktywna krytyka, wypowiedziana w dobrym tonie, może zadziałać mobilizująco. Gorzej, gdy celem takiej tyrady, często wygłaszanej w obecności współpracowników, jest obrażenie.

> **Przełożona, na oczach kolegów i koleżanek z pracy, w sposób nieelegancki skomentowała moją pracę. W tamtej chwili poczułam się bardzo źle, a moje poczucie wartości spadło momentalnie do zera**

– Pamiętam sytuację, gdy moja przełożona, na oczach całej grupy kolegów i koleżanek z pracy, w sposób nieelegancki skomentowała moją pracę. W tamtej chwili poczułam się bardzo źle, a moje poczucie wartości spadło momentalnie do zera. Sytuacja powtórzyła się kilkukrotnie. Raz nawet podszedł do mnie kolega z firmy, pytając czy dobrze się czuję, bo aż jemu zrobiło się głupio, gdy słuchał tych komentarzy rzucanych w moim kierunku. Z perspektywy czasu mogę ocenić, że moja praca nie była zła, a jedyny problem tkwił w przełożonej. Jednak co wtedy przeżyłam, to moje – dodaje Monika.

Zdarza się również, że szef nie jest do końca uczciwy ze swoimi pracownikami. Przy nas robi dobrą minę, a za naszymi plecami mówi zupełnie co innego. W ten sposób oczernia swoich pracowników w oczach innych.

Ciężko zrozumieć motywy takiego zachowania, bo na pewno nie działa to na korzyść firmy, której jest właścicielem. Być może taka nieczysta gra sprawia mu po prostu perwersyjną przyjemność?

– No cóż, mojej szefowej zdarzało się grać nieuczciwie, ale nie to jest najgorsze. Piastowałam dość istotne stanowisko w firmie, przymykając oko na toksyczną atmosferę. Moja praca przynosiła realne pieniądze. Słyszałam, że jest dobrze, że jestem niezastąpiona, aż nagle, w jednej chwili zostałam zwolniona. Zrozumiałabym, gdyby wszystko odbyło się w uczciwej atmosferze, ale późniejszego oczerniania mnie wśród klientów nie mogę pojąć – mówi Kasia, manager średniej firmy.

Szef, który zwalnia bez powodu

Sytuacja Kasi nie jest wyjątkowa. Historia Ani również może przyprawić o dreszcze.

Gdy zaczęła pracę w firmie rekrutującej marynarzy, szefowa była już na wypowiedzeniu i przyuczała na swoje stanowisko nową osobę, która w stosunku do Ani zachowywała się bardzo oschle. Później nastąpił złoty okres. Ania się wdrażała, opanowała system i dostała premię za dobre wyniki.

Niestety, pech chciał, że zachorowała na zapalenie płuc i musiała skorzystać z L4. Gdy wróciła po chorobie, na jej miejscu siedziała inna dziewczyna. Nowa szefowa zaprosiła Anię do gabinetu i wręczyła wypowiedzenie – z winy pracownika.

– Zabrałam swoje rzeczy, ale dokumentów nie podpisałam. Sprawę złożyłam do sądu. Oczywiście wygrałam, ale nie chciałam już wracać do tamtej firmy. Później okazało się, że dziewczyna, która mnie zastąpiła, była córką najlepszego przyjaciela szefa. Ktoś musiał zwolnić dla niej miejsce, a ja byłam najmłodsza stażem. Byłam zła i czułam się bardzo skrzywdzona, bo dałam z siebie 200 proc. Jak widać, nie ma to znaczenia w przypadku tzw. znajomości – podsumowuje Ania.

Justyna Michalkiewicz

REKLAMA

WOJTEK ORZECHOWSKI:

Potykając się można zajść daleko

Jedni zastanawiają się, jak z bankruta udało mu się zostać milionerem. Inni, którzy marzą – jak niegdyś on – by wyrwać się z wyścigu szczurów i uniezależnić finansowo, z uwagą słuchają, co mówi. A on zapewnia: najważniejsze to chcieć.

Ma 42 lata, a wypracował już na tyle duży majątek, że gdyby chciał, mógłby do końca swoich dni leżeć na plaży pępkiem do góry i nie kiwnąć palcem. Zresztą – przez dwa lata tak właśnie robił. Wyjechał z rodziną do Włoch i korzystał z uroków aury nad Adriatykiem.

– Nuda – stwierdził w końcu. – Tylko brzuch mi rośnie. Ile tak można? Muszę coś robić.

Za namową przyjaciela zaczął więc prowadzić blog, na którym dzielił się swoją wiedzą, z tymi, którzy chcieli słuchać. Szybko okazało się, że słuchać chce wielu. Zaczął więc myśleć nad usystematyzowaniem swojej wiedzy biznesowej tak, by zrobić z niej narzędzie dla innych. Opracował autorską strategię inwestowania w nieruchomości. Dziś na jego warsztaty przychodzą tysiące ludzi. Są wśród nich tacy, którzy nie dysponują żadnym własnym kapitałem i ci, którzy nie wiedzą co zrobić z pieniędzmi. I jednym i drugim pomaga wyjść na swoje.

Kto by pomyślał, że ten człowiek, którego dziś stać naprawdę na wiele, jeszcze w 2000 roku stał na krawędzi – został bankrutem, a kilka lat później musiał walczyć o życie.

Czym skorupka za młodu...

Marzenie, żeby zostać bogatym, towarzyszyło Wojciechowi Orzechowskiemu od dzieciństwa. W jego domu rodzinnym, w małej podradomskiej miejscowości, nigdy się nie przelewało. Mały Wojtek już wtedy marzył, by żyć inaczej.

Aby zdobyć dla siebie parę groszy kieszonkowego jeździł z dziadkiem handlować na bazar warzywami i orzechami. W liceum prowadził w szkole sklepik papierniczy, na studiach Klub Studencki a potem, wspólnie z kolegą ze studiów, rozkręcili własny biznes – sprzedaż gadżetów reklamowych. Opłaciło się.

– W końcu było mnie stać na więcej niż moich rówieśników – wspomina. – Mogłem sobie kupić poloneza, miałem telefon komórkowy.

Mnóstwo ludzi, w tym także członków rodziny, mówiło mu, żeby nie ryzykował, żeby się nie pakował we własne biznesy, by znalazł jakąś pracę na etacie, ale nie słuchał.

– Nie potrzebuję ostrzeżeń, lecz motywacji – mówił i odsuwał się od osób demotywujących oraz tych, które go wstrzymywały. – Jeśli chcecie być przeciętnymi, to sobie bądźcie. Ja chcę więcej.

I po więcej sięgał. Dorabiał się, układał sobie życie. Na jednej z pielgrzymek do Częstochowy poznał dziewczynę, której wkrótce się oświadczył. Założył rodzinę. Potrzeby wzrosły, więc w 1999 roku założył z kolegami firmę oferującą ludziom sprzęt komputerowy. Szło świetnie. Kapitał rósł, nic tylko zazdrościć. Dwa lata później został bankrutem.

Najważniejsze to powstać

Po tym, jak jeden ze wspólników zrobił finansowy przekręt i oszukał pozostałych, ci zostali na lodzie z długami w wysokości 500 tys. zł.

– Miałem wtedy do wyboru: wyjechać za granicę i tam starać się odbić od dna lub zostać w Polsce – pójść do pracy i latami spłacać długi, ledwo wiążąc koniec z końcem albo też rozkręcić taki biznes, który pozwoli mi szybko uniezależnić się finansowo – opowiada Orzechowski. – Oczywiście wybrałem tę trzecią opcję.

Tym razem wszedł w usługi internetowe. Konkurencji w tej dziedzinie na polskim rynku wtedy praktycznie nie miał, więc jego biznes trafił w potrzeby odbiorców. Najpierw działał lokalnie, ale krąg zainteresowanych jego ofertą szybko rozszerzył się na cały kraj. Po kilku latach jego firma, do której dołączył kolega Paweł Dywan, zatrudniała już 120 pracowników i współpracowników. Orzechowski znów był na fali.

– Gdyby wtedy ktoś spojrzał mi głęboko w oczy, zobaczyłby w nich dolary – mówi biznesmen. – Byłem nastawiony tylko na pieniądze. Ten na górze miał jednak wobec mnie inne plany.

Wirus HCV, którym w 1993 r. zarażono go w szpitalu, nieubłaganie niszczył mu wątrobę. Nie było leków. Uratowałby go przeszczep, ale kolejka oczekujących była długa. – Praktycznie już powoli żegnałem się z życiem – wspomina. – I nagle, po latach, okazało się, że wynaleziono lekarstwo, które może przynieść rezultaty. To było jak cud.

Choroba skłoniła Orzechowskiego do napisania książki i założenia profilu na FB „Bliżej Boga być", na łamach których dzielił się swoim doświadczeniem i wiarą.

Zamiast pędzić za pieniądzem, zaczął się zastanawiać, jak sensownie wykorzystać to, co już ma. Jak ulokować kapitał, by ten dalej sam na niego pracował, a on mógł więcej czasu poświęcić rodzinie i czerpać z danego mu raz jeszcze życia. Najbezpieczniejszą opcją wydały mu się wówczas nieruchomości.

Od bankruta do Rentiera

Po przejściu wielu szkoleń i przeczytaniu licznych książek w 2006 r. zaczął inwestować w zakup pierwszych mieszkań. Szybko jednak utknął w miejscu.

– Kupiłem kilka nieruchomości, ale miałem związane ręce, ze względu na zamrożony kapitał – opowiada. – Moja zdolność kredytowa się skończyła. Osiągałem przychody pasywne rzędu 2000-2500 zł i nie miałem możliwości dalszego ruchu.

Orzechowski zaczął więc dociekać, gdzie popełnił błąd. I wtedy po raz kolejny sięgnął po wiedzę swojego mentora – Roberta Kiyosakiego. Jego gra „Cashflow" otworzyła mu oczy.

– Część majątku sprzedałem, odzyskałem kapitał i zacząłem obracać nieruchomościami – tłumaczy. – Posiłkując się kredytem potrafiłem uzyskiwać stopy zwrotu ponad 100 proc. Co więcej, zauważyłem, że można obracać nieruchomościami tak, by rocznie podwajać obrót.

Dziś Wojciech Orzechowski jest rentierem, który osiąga kilkadziesiąt tysięcy złotych zysku miesięcznie. Czy jest bogaty? – Jeśli bogactwo rozumieć nie jako posiadany kapitał, tylko wartość dodatnich przepływów pieniężnych, z których można wszystko finansować, to daleko zaszedłem – śmieje się. Jednak obecnie za swoją główną misję uważa dzielenie się posiadaną wiedzą z innymi.

Na prowadzonym przez niego Maratonie WIWN® tysiącosobowa sala jest pełna. Równie dużą popularnością cieszą się jego Warsztaty Inwestowania w Nieruchomości (WIWN.pl), na których przeprowadza początkujących inwestorów przez cały proces. Jest dla nich mentorem przez cały rok, a jeśli potrzeba – nawet dłużej. Prowadzi ich za rękę. Krok po kroku. Uczy ich liczyć, oceniać nieruchomości, zapoznaje z prawem. Pokazuje jak w ciągu sześciu lat dojść do obrotu rzędu dwóch milionów złotych.

Na wzór „Cashflow" Roberta Kiyosakiego opracował własną grę „Rentier"®, dopasowaną do polskiego rynku strategi inwestowania. Napisał też dwie książki: „Zarabiaj na nieruchomościach" oraz „Wszystko o Flipach, czyli 200 pytań do eksperta od obrotu nieruchomościami".

– Zawsze starałem się działać sam, przez co popełniałem masę błędów – tłumaczy swoje zaangażowanie w pomaganie innym Orzechowski. – Czasami żałowałem, że nie mam kogoś, kto by mnie przeprowadził przez proces tworzenia firmy i zarabiania na niej. Dziś mogę powiedzieć, że jeżeli chcemy się czegoś nauczyć, powinniśmy znaleźć dobrego nauczyciela. Dobry mentoring jest na wagę złota, bo pozwala bardzo szybko uzyskać takie efekty, do których samemu dochodzi się przez wiele lat.

***

Historia Wojciecha Orzechowskiego pokazuje, że z wyścigu szczurów można się wyrwać. Sukces jednak nie spada z nieba. Potrzebne są: determinacja, odwaga, gotowość do popełniania błędów, podnoszenie się po upadkach i wielka potrzeba realizacji marzeń, która napędza do działania.

– Dużo pracy, zapału, wiary i odrobina szczęścia – zdradza swoją receptę na sukces inwestor.

A tych, którym marzy się osiągnięcie wolności finansowej, zaprasza na czerwcowy Maraton WIWN lub do kontaktu poprzez stronę www.wojciechorzechowski.pl. Dla wielu osób jest to szansa na rozpoczęcie nowego etapu w życiu.

Izabela Marczak

materiał promocyjny

REKLAMA

materiał promocyjny

Koduj, nie pękaj!

Masz dość swojej pracy? Chciałbyś zarabiać więcej? Nie masz pomysłu na zmianę? Łam stereotypy, rzuć się na głęboką wodę. W kilka miesięcy możesz zacząć nowe zawodowe życie.

Justyna Sałacińska była handlowcem. Po kilku latach miała szczerze dość swojej pracy. Chciała coś zmienić, chciała dobrze zarabiać, niekoniecznie tocząc boje „o klienta" lub „z klientem". Perspektywa robienia studiów I lub II stopnia by się przekwalifikować nieszczególnie jej odpowiadała. Właśnie rzuciła nielubianą pracę i chciała szybko zyskać nową. – Trzy lub pięć lat nauki? Kogo na to stać w dorosłym życiu? – myślała.

Ponieważ wszelkie badania rynku mówiły, iż przyszłość należy do specjalistów z dziedziny IT, że średnie miesięczne wynagrodzenie brutto w tej branży wynosi ponad 12 tys. zł, zainteresowała się programowaniem. Przeczytała na ten temat kilka książek, „przerobiła" kilka kursów online. Spodobało jej się. Nadal jednak nie czuła się na tyle kompetentna, by ubiegać się o pracę w tym zawodzie.

– Powinnaś pomyśleć o jakimś bootcampie – doradził jej szwagier, informatyk. – Trwają krótko, dają esencję wiedzy. Kursy prowadzą specjaliści-praktycy, więc dostaniesz info na czasie.

Ponieważ jego koledzy z branży polecali bootcamp organizowany przez Kodołamacz.pl, nie zastanawiała się długo. Czekało ją dwa miesiące intensywnej nauki i 10 tys. zł mniej na koncie, bo taka była cena całego kursu, ale to umożliwi zdobycie nowego zawodu? Uznała, że warto.

Dziś twierdzi, że była to najlepsza decyzja w jej życiu.

Moda na łamanie kodów

Obecnie coraz więcej osób rozważa wybór, jakiego dokonała Justyna.

– Dane pokazują, że ścieżkę rozwoju zawodowego w formule bootcampów wybierają nie tylko ludzie związani z IT. Aż 42 proc. uczestników to osoby spoza tej branży – mówi Łukasz Kobyliński z Kodołamacz.pl. – Bootcampy zyskują popularność wśród osób z wykształceniem innym niż ścisłe, ponad ⅓ uczestników naszych kursów ukończyło uczelnie humanistyczne, lub inne nietechniczne. 17 proc. z nich to kobiety, a ich liczba stale wzrasta.

Z danych koalicji największych bootcampów – Council on Integrity in Results Reporting – wynika, że 30 proc. ich absolwentów znajduje pracę w ciągu 30 dni od ukończenia kursu, a 89 proc. najwyżej po 120 dniach. 64 proc. z nich odnotowuje realny wzrost wynagrodzenia.

Skąd taka skuteczność?

Bootcampy są ukierunkowane na przygotowanie uczestników do pracy w zawodzie, a nie na przekazanie ogólnych informacji na dany temat. Na początku oferują małe dawki wiedzy – małe projekty, drobne zwycięstwa. Potem przychodzi czas na projekty większe, które przypominają realną pracę w firmie i stanowią „współczesne CV" programisty. Ponadto bootcampy organizują dla uczestników konkursy i zachęcają do pracy w parach (pair programming), a wszystko to wspomagane jest materiałami online (blended learning) i wspierane przez mentorów.

Większość kursów ma charakter programistyczny, np. „Full-stack", „C++" czy „Tworzenie gier", ale są też takie, gdzie programowanie jest jedynie narzędziem np. „Data Science" lub „Testowanie QA".

Rozważając zawodowe przekwalifikowanie się w branży IT, warto zwrócić uwagę na to, jaka przyszłość jest przewidywana w najbliższych latach dla danej dziedziny czy języka programowania.

Czy to faktycznie dla mnie?

W Krakowie i w Warszawie trwają właśnie bootcampy „Data Science" Kodołamacz.pl. Szkolenie obejmuje 256 godzin wiedzy, 240 godzin warsztatów oraz dwudniowe szkolenie z rekruterem. Kandydatom, którzy starali się o udział w tym programie, stawiano następujące wymagania: opanowanie podstaw programowania w dowolnym języku, znajomość głównych pojęć z zakresu statystyki oraz znajomość języka angielskiego na poziomie co najmniej średniozaawansowanym (niezbędna do pracy w zawodzie ze względu na źródła i dokumentację dostępną przede wszystkim w tym języku).

Czy zatem ktoś, kto nie ma umysłu ścisłego i wyżej wymaganej wiedzy, nie ma szans na zmianę zawodu?

– Bootcampy oferują też kursy przygotowawcze – odpowiada Justyna Sałacińska. – Jeśli wcześniej w ogóle nie miałeś styczności z kodowaniem, warto zacząć właśnie od nich. W moim przypadku wiedza, którą zdobyłam z książek i kursów online, wystarczyła, by w pełni skorzystać z tego, co oferował bootcamp.

Justyna dostała pracę na stanowisku software developera w międzynarodowej firmie już dwa miesiące po ukończeniu bootcampu.

– Podczas rozmowy kwalifikacyjnej w sprawie pracy nie było rzeczy, na której mogliby mnie zagiąć – śmieje się. – Ale to właśnie dzięki temu, że na bootcampie dostałam wiedzę o najnowszych technologiach i zostałam ukierunkowana na szukanie w tym zakresie dodatkowych materiałów na własną rękę. Ten kurs to naprawdę była najlepsza decyzja w moim życiu – zapewnia.

Izabela Marczak

REKLAMA

REKLAMA

Promocja „Ostatni rok bez odsetek" dotyczy kredytów na okres od 2 lat*. Wnioski o kredyt można składać do 14.05.2018 r. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO) wyliczona na 16.02.2018 r. wynosi 10,23% dla założeń: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 11 500 zł | całkowita kwota do zapłaty 14 161,93 zł (w tym prowizja 1368,50 zł, odsetki 1293,43 zł) | 51 rat miesięcznych (50 rat po 277,69 zł i jedna 277,43 zł).

* Jeśli spełnione zostaną warunki określone w regulaminie promocji kredytu gotówkowego „Ostatni rok bez odsetek" - edycja V (Regulamin), oprocentowanie zostanie obniżone do 0% w skali roku w ostatnich 12 miesiącach spłaty kredytu. Warunkiem obniżenia oprocentowania jest złożenie pełnego wniosku o kredyt do 14.05.2018 r., przystąpienie do promocji, zawarcie w oddziale Banku umowy kredytu gotówkowego na okres od 24 miesięcy oraz terminowa spłata kredytu zgodnie z harmonogramem. Kredyt dostępny od 6 do 60 miesięcy dla kwot od 2000 zł do 20 000 zł. Szczegółowe informacje o kredycie, w tym Regulamin, dostępne są w oddziałach Banku oraz na stronie www.bgzbnpparibas.pl. Dostępność produktu oraz warunki kredytowania uzależnione są od wyniku przeprowadzonej przez Bank analizy zdolności kredytowej Klienta na podstawie przekazanych przez niego informacji. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie reklamowy i informacyjny oraz nie stanowi oferty w rozumieniu kodeksu cywilnego. Bank BGŻ BNP Paribas S.A. z siedzibą przy ul. Kasprzaka 10/16, 01-211 Warszawa, zarejestrowany w rejestrze przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS 0000011571, NIP 526-10-08-546, kapitał zakładowy w wysokości 84 238 318 zł, w całości wpłacony.

Zakupy w moim stylu!
Twoje ulubione marki 30-70% taniej
Zapraszamy od poniedziałku do soboty: 10.00 – 22.00
W niedzielę handlową: 10.00 – 21.00
designer outlet Warszawa
PIASECZNO | Puławska 42E
designeroutletwarszawa.pl
ARMANI
ecco
DIGEL
LIU·JO MILANO
MANGO OUTLET
new balance
PANDORA
Tchibo

UCIEKINIER Z MORDORU

Z pogromcy coca-coli w maestro chmielu

Poznajcie polskiego Waltera White'a. Nie, nie – on nie wykorzystuje swojej wiedzy chemicznej do produkcji amfetaminy. Robi za to coś, co innym nie uszłoby na sucho. Jacek Materski potrafi nawarzyć piwa, które potem piją za niego inni.

Czym się Pan zajmował, zanim – w tym wypadku nie mleko, ale – piwo się rozlało?

Jacek Materski: Wykonywałem wiele różnych zawodów. Choć z wykształcenia jestem chemikiem, przez wiele lat nie pracowałem w wyuczonym fachu. Zajmowałem się głównie handlem. Przez 11 lat byłem kupcem w międzynarodowym przedsiębiorstwie. Wcześniej podobny zawód wykonywałem w firmach holenderskiej i włoskiej. Jednak nie narzekałem. To była pasjonująca praca. Podróże biznesowe do wielu państw, rozmowy w różnych językach, poznawanie ciekawych ludzi, nowych kultur.

Oczywiście, jak zawsze w korporacji, były także mniej fascynujące strony tej pracy, takie jak sprawozdawczość, raporty, analizy, excele, słowem: nuda. Niemniej nie uciekałem od tego, bo bilans wychodził zawsze bardzo na plus.

Co się więc stało?

Eksperymenty wymknęły się spod kontroli (śmiech). Warzenie stało się pasją.

I jeszcze zgarnął Pan do tego procederu innych „piwoszy"?

Okazało się, że dwóch moich sąsiadów ma taką samą pasję, jak ja, i też eksperymentują. Tyle że kto może docenić efekty eksperymentów przeprowadzanych na domową skalę? Gdy coś komuś wychodzi, chciałby się tym dzielić, pokazać otoczeniu, mieć konkretny feedback. Więc złożyliśmy się na zbudowanie większego „laboratorium" smaku, które pozwoliłoby nam zwiększyć produkcję i wejść z naszymi piwami na rynek.

Wówczas rzucił Pan pracę w korpo?

A skąd! Jeszcze przez trzy lata pracowałem jako międzynarodowy kupiec. Podobnie moi wspólnicy. Jeden nadal zajmował się projektami informatycznymi, a drugi w firmie o podobnym charakterze do tej, jaką zamierzaliśmy uruchomić.

Jak zatem udało Wam się rozkręcić biznes „po godzinach"?

Tak, jak to bywa z pasjonatami. Zawsze znajdą sposób na to, żeby zrealizować się w swoim hobby. My też wykorzystywaliśmy każdą wolną chwilę – najpierw jeździliśmy po Polsce i szukaliśmy okazji do zakupu niewielkim kosztem wyposażenia naszego zakładu. Później poświęciliśmy sporo czasu na własnoręczną instalację wszystkiego, a następnie na opracowanie procedur i doglądanie całego procesu produkcyjnego.

Summa summarum: nasz pierwszy browar skonstruowaliśmy z zezłomowanych zbiorników nierdzewnych, w których zaczęliśmy produkować w niewielkich ilościach nasze własne, rzemieślnicze piwo.

To był rok 2012. Przecieraliście szlaki trendu, który dopiero miał się narodzić.

Owszem. Wtedy rynek piw rzemieślniczych w Polsce dopiero się tworzył. To, co robiliśmy, było wówczas niesamowicie niszowe. Produkowaliśmy mało, ale wyjątkowe piwa. Niestety, z powodu takiej metody produkcji, były one drogie. Mimo to marka Artezan zaczęła się przebijać do zbiorowej świadomości i po dwóch latach okazało się, że jesteśmy zablokowani zamówieniami. Nie byliśmy w stanie sprostać potrzebom klientów – musieliśmy się rozwijać.

Straszne (śmiech).

W pewnym sensie to straszne, kiedy pasja przekłada się na pieniądze. Coś się wówczas traci, choć finansowo się zyskuje. Z drugiej strony, wydaje się, że nie ma nic przyjemniejszego niż robić biznes na tym, co cię naprawdę ciekawi i wciąga. Ale też trzeba stale czuwać na tym, by to, co się zrodziło z pasji, czyli jakość, nie zostało zniszczone przez chęć większego zysku – ilość.

Tak czy inaczej, ponieważ chcieliśmy sprostać oczekiwaniom klientów, sprzedaliśmy nasz mały browar w Natolinie i kupiliśmy dużą halę w Błoniu, gdzie ulokowaliśmy większy browar. Przyjechał aż z Czech, gdzie zbudowano go specjalnie na nasze potrzeby. Ruszyliśmy z kopyta. A dziś znów okazuje się, że nam za mało miejsca i znów wszystko woła, by się rozrastać...

Skąd u Pana zainteresowanie piwowarstwem?

W zasadzie jeszcze z dzieciństwa. Nie, nie chodziło wówczas o piwo... Gdy byłem chłopcem postanowiłem wyprodukować napój, który pobije coca-colę. W PRL-u coca-cola była niczym święty Graal. Miałem na tym punkcie bzika. Pewnego razu ojciec zabrał mnie na specjalną wyprawę na prowincję, żebym mógł się napić pepsi, która zgodnie z umową, jaką Gierek zawarł z Zachodem, nie mogła pojawiać się w dużych miastach, gdzie królowała coca-cola.

Eksperyment się nie udał?

Cóż, muszę się przyznać do porażki. Choć podejmowałem wiele prób. Wyciskałem sok z aloesu, z ogórków, mieszałem z kawą zbożową. Ale nie wyszło.

Więc przerzucił się Pan na piwo?

Skoro nie mogłem pokonać najlepiej sprzedającego się na świecie napoju bezalkoholowego, postanowiłem spróbować z alkoholowym. Fenomenem piwa jest to, że da się uzyskać tak dużą różnorodność jego odmian, jak żadnego innego trunku.

Piwowarstwo kreatywne jest jak tworzenie muzyki. Człowiek komponuje ją od zarania dziejów, a wciąż powstają nowe gatunki. Z piwem jest podobnie. Ogromna gama słodów, masa odmian chmielu, dodatków niesłodowych (takich jak cukry, soki owocowe, moszcz owocowy), przyprawy, różne szczepy drożdży, rozmaite sposoby fermentacji i dojrzewania... To wszystko daje ogromne możliwości kreacji. I jest fascynujące.

Od powstania pierwszego browaru Artezan minęło już parę lat. Dziś nie jesteście już tylko pasjonatami. Wasz biznes się rozwinął, ale urosła też konkurencja. Wytworzyła się moda na piwa rzemieślnicze, ale duże browary też prześcigają się w tworzeniu piw smakowych. Piwa kraftowe, zwykle jednak droższe od tych z produkcji masowej, muszą ostro walczyć o przetrwanie na rynku.

To prawda. Browary rzemieślnicze muszą się promować. Dlatego wymyśliliśmy Warszawski Festiwal Piwa. To odbywająca się dwa razy do roku impreza, na której miłośnicy tego trunku mogą spróbować różnych smaków z bogatej gamy piw produkowanych w polskich i europejskich browarach kraftowych. Podczas tego wydarzenia ponad 50 producentów – rzemieślników ma okazję pochwalić się tym, co tworzą.

Impreza, którą organizujemy już od trzech lat na stadionie Legii Warszawa, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Bywa nawet, że jest więcej chętnych niż miejsc i musimy blokować wejścia.

Czy taka stricte alkoholowa impreza nie jest ryzykownym przedsięwzięciem? Rozrywka plus procenty – to kojarzy mi się raczej ze wstępem do jakiejś draki...

Od trzech lat to wydarzenie ochrania ta sama firma. Na początku mieli podobne obawy. Tymczasem okazuje się, że WFP nie rodzi żadnych przykrych incydentów. Po pierwsze: dlatego że piwo, a zwłaszcza piwo rzemieślnicze, zawierające duże dawki chmielu, ma działanie uspokajające. Po drugie: oprócz piwa na festiwalu jest mnóstwo pysznego jedzenia serwowanego z food trucków. Jest też kawa, woda i inne napoje oraz piwa niskoprocentowe, które teraz są modne. Natomiast te wysokoprocentowe serwowane są w naczyniach o małych objętościach, po 100-200 ml, podobnie jak wino. Ponadto impreza oferuje wiele innych atrakcji, w tym występy zespołów muzycznych, pokazy teatralne, i inne.

Pana browar niemal co tydzień tworzy nowy, unikatowy rodzaj piwa. Czy obecnie zaspokoił Pan już swoje ambicje wynalazcy supernapoju?

Chyba mogę uznać, że gorycz dawnej porażki została osłodzona (śmiech). Każdy nowy smak piwa jest kolejnym sukcesem, który daje mi satysfakcję. Można zatem powiedzieć, że z przeszłością jesteśmy kwita.

A przyszłość?

Przyszłość to kolejne wyzwania. Skoro się wypłynęło na głębokie wody, trzeba teraz spróbować się na nich utrzymać. Wierzę jednak, że jeśli pozostaniemy wierni pasji, będziemy płynąć dalej.

Izabela Marczak

REKLAMA

PEŁNA KULTURKA

Twarze krytyki

W tym odcinku staniemy oko w oko z pojęciem „twarzy" w kulturze chińskiej i niemieckiej, oczywiście w konfrontacji z jego interpretacją w Polsce.

Poprzednio pisałem o zgubnej mocy etnocentryzmu, teraz przeniesiemy się na wyższy poziom.

Zastanowię się nad pojmowaniem „twarzy" w relacjach międzyludzkich.

Czy zdarzyło się Wam na odchodne rzucić do znajomego, że trzeba się kiedyś na jakieś piwko zgadać? Albo, przyjmując prezent, że naprawdę nie trzeba było? Ile w tych komunikatach było szczerej intencji, a ile maski uprzejmości?

Ktoś mądry powiedział, że przyglądając się własnej kulturze jesteśmy blisko zrozumienia innej...

Owa „twarz" to skrót myślowy, pod którym kryje się szerzej rozumiany prestiż, image, poziom naszej samooceny i tego, jak postrzegamy to, co myślą o nas inni. Mamy kilka idiomów, które doskonale ilustrują to, o czym piszę, np.: wyjść z twarzą lub wytrzeć sobie kimś gębę.

Wiele razy w swojej pracy borykam się z problemem udzielenia i otrzymania negatywnego feedbacku. Może to dotyczyć współpracy przy projekcie, wykonanego zadania, czy dostarczonego produktu. Zaznaczę, że we wszystkich oddziałach firmy stosujemy jednakowe pomiary jakości. Niemniej jednak sposób komunikowania negatywnych wiadomości staram się dopasowywać do kręgu kulturowego odbiorcy. Poniżej zestawiam Chiny i Niemcy – kultury tych krajów to dwa ekstrema na skali sztuki zarządzania negatywnym feedbackiem.

Dlaczego dopiero po udanej rozmowie konferencyjnej z Chinami dowiaduję się w bezpośrednim e-mailu, że coś poszło z naszej strony nie tak?

Dla Chińczyków zachowanie „twarzy" jest niesłychanie istotne. Nie chodzi tu jedynie o samo-respekt, ale o niezakłóconą harmonię i zadbanie o wizerunek każdego rozmówcy.

Chiński partner w biznesie niechętnie obrzuci Cię krytyką w obecności innych osób. Obawiałby się, że ucierpi na tym Twój image i co gorsza, że możesz odpłacić pięknym za nadobne. Są oczywiście wyjątki, poniekąd potwierdzające tę tezę – to przypadki, kiedy chiński partner odrzuca każdą propozycję współpracy. Może to oznaczać, że nie widzi potrzeby inwestowania w relację i daje do zrozumienia, że gra nie jest warta świeczki.

Co robić:

- Nie krytykuj publicznie. Ewentualnie wspomnij, że masz pewne szczegóły do poruszenia bezpośrednio z niektórymi rozmówcami.
- Nie przymuszaj do szybkich deklaracji. Użycie nacisku może być zgubne – stosuj metodę uchylonych drzwi, podkreślając, że chcesz dać czas partnerom na podjęcie tej istotnej decyzji.
- Ostrożnie z zachodnim prześmiewczym żartem, często używanym do przełamania lodów. Unikaj niby-bezpiecznych: „Sam się dziwię, że taki szkolny gamoń jak ja mógł wpaść na coś genialnego".
- Komplementy bezpieczniej kieruj do zespołu, a nie do jego konkretnych członków. „Wasz zespół pomógł nam odnieść sukces" choć niebezpośrednio, to jednak trafi do odbiorców, których masz na myśli.
- Jeśli dostarczono coś złej jakości, to powiedz, że mogłaby być odrobinę lepsza. Chińczycy mają tendencję do odczytania zachwytów i krytyk jeden poziom niżej, więc wezmą na klatę konieczność poprawek.

Czemu w niemieckim zespole zawsze pojawi się ktoś, kto lekceważąco wszystko podważa?

Koncept „twarzy" i interesy nie idą w parze po drugiej stronie Odry.

Dla Niemców istotne są konkrety, fakty i skuteczne dojście do celu. Odseparowanie spraw wizerunkowych od biznesu to forma higieny zawodowej.

Przy tym Niemcy cenią sobie swobodę wyrażania rozmaitych punktów widzenia. Na szacunek wszystkich trzeba sobie zapracować rzetelnością i solidnością. Nie znaczy to, że Niemcy są chłodni lub bezwzględni. Mówi się o nich, że są jak kokosy – twardzi na wierzchu, a słodcy w środku. Zbudowane zaufanie może skruszyć skorupę, a interakcja ma szansę zaowocować długoletnią przyjaźnią.

Co robić:

- Przed spotkaniem przygotuj dane i konkretne wyjaśnienia potencjalnych pytań.
- Jeśli czegoś nie wiesz, możesz to sprawdzić i wrócić – zgadywanie się nie przyjmie.
- Unikaj krążenia wokół sedna – zacznij od meritum i uzasadnij swoje założenia.
- Wylicz główne punkty i zagadnienia do dyskusji – łatwiej będzie się do nich odnieść w dalszej komunikacji.
- Przygotuj się na to, że zgłoszona decyzja często jest rozumiana jako ostateczna – Niemcy nie preferują ruchomych terminów i elastycznych planów.

Co Was „gryzie w język"?

Napiszcie, jeśli jest jakiś obszar komunikacji międzykulturowej, który „gryzie Was w język". Chętnie pomogę rozprawić się z problemem. Piszcie na adres: redakcja@glosmordoru.pl.

Konrad Krzysztofik

REKLAMA

www.ZDROWIEWMODZIE.PL

TO SKLEP Z NOWOCZESNYM **SPRZĘTEM MEDYCZNYM**

ZDROWIE JEST W MODZIE, DLATEGO WARTO O NIE ZADBAĆ JUŻ DZIŚ. NASZ SKLEP POMOŻE W TYM ZADANIU,
A NASI SPRZEDAWCY Z CHĘCIĄ UDZIELĄ POTRZEBNYCH WSKAZÓWEK I POMOGĄ DOKONAĆ ODPOWIEDNIEGO WYBORU.

W ASORTYMENCIE ZNAJDZIECIE M.IN:

CIŚNIENIOMIERZE I PULSOKSYMETRY

INHALATORY NAJNOWSZEJ GENERACJI

OCZYSZCZACZE I NAWILŻACZE POWIETRZA

Intec Medical Sp. z o.o.
ul. Longinusa Podbipięty 7, 31-980 Kraków

biuro: tel. 12 376 81 15, fax 12 398 37 11
serwis: tel. 12 376 81 15, serwis@intecmedical.pl

e-mail: biuro@intecmedical.pl
www.intecmedical.pl
sklep: www.zdrowiewmodzie.pl

materiał promocyjny

Co ma wspólnego życie na ASAPie i self storage?

Czy można żyć na nieustającym ASAPie i nie wykończyć się po pierwszym roku? Można. Trzeba tylko wiedzieć, jak sobie to życie ułatwiać, szczególnie, że z pewnymi rozwiązaniami – np. własnym boksem w self storage – to nietrudne. Taki magazyn właśnie powstał tuż obok twojego korpo.

Wiesz już, co to self storage?

Jeśli nie, to przeczytaj. A może wiesz? Też przeczytaj, bo taki obiekt właśnie powstał o rzut kamieniem od Twojego biura – tuż przy Galerii Mokotów, w budynku Mokotów Box przy ulicy Wołoskiej. Mokotowski Kangu Self Storage robi wrażenie. To ponad 2 tys. metrów kwadratowych powierzchni, na których znajduje się 700 boksów o kubaturze od 0,5 do 15 m².

Co wyróżnia magazynowanie w self storage? Zyskujesz naprawdę sporo:

Po pierwsze: masz miejsce do przechowywania przedmiotów, których nie używasz na co dzień, a które zagracają twoje mieszkanie, dom czy biuro. Najczęściej to sezonowy sprzęt sportowy, meble i sprzęt AGD, meble biurowe oraz wszelkiego rodzaju dokumenty, artykuły marketingowe, a nawet produkty sprzedażowe.

Po drugie: boks wynajmujesz na dowolny okres (nie krótszy niż 14 dni), więc możesz go wykorzystać do zmagazynowania rzeczy na krótki czas, np. do końca remontu, na kilka miesięcy – np. do kolejnego sezonu, na kilka lat lub po prostu na czas nieokreślony.

Po trzecie – masz do dyspozycji boksy o różnych kubaturach i pełną pomoc ze strony opiekunów obiektu, którzy pomagają w doborze odpowiedniej, nie za małej, ale i nie za dużej powierzchni.

Po czwarte – do swojego boksu masz dostęp 24 godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, nawet w niedziele (także te wolne od handlu) i święta. Niezależnie więc od tego, czy skończysz pracę o 16, czy o 5 nad ranem (oby nie…), twój boks będzie dla ciebie dostępny.

Po piąte – w obiekcie zastosowane są najwyższej jakości systemy zabezpieczeń, a panująca tu optymalna temperatura sprawia, że to bezpieczne miejsce do przechowywania – nawet „wrażliwych" przedmiotów.

Korzyści prywatne i firmowe

Tak jak kiedyś standardem było magazynowanie nieużywanych lub rzadko używanych rzeczy w piwnicach albo w garażach, tak dzisiaj coraz więcej osób korzysta z magazynów self storage. Powodów jest kilka. – Myślę, że najważniejsze z nich, to komfort przechowywania przedmiotów w bezpiecznym, przeznaczonym do tego miejscu, w którym nie ulegną zniszczeniu, ani nie padną łupem złodzieja. Ważna jest też możliwość „odgruzowania" mieszkania czy biura i zyskania dodatkowej przestrzeni, bez konieczności wyrzucania czy oddawania przedmiotów, które kiedyś będą ponownie używane – mówi Przemek Główczewski z Kangu Self Storage. Jak dodaje, z ich obiektów korzystają zarówno osoby prywatne, które magazynują w boksach przedmioty domowego użytku, jak i przedsiębiorcy, którzy szukają atrakcyjnego cenowo miejsca do przechowywania materiałów firmowych.

Jak dojedziesz do Kangu Self Storage na Mokotowie?

Opcji jest kilka. Sam obiekt mieści się w Mokotów Box przy ulicy Wołoskiej 16, w bezpośrednim sąsiedztwie Galerii Mokotów, 3,5 km od Lotniska im. Fryderyka Chopina i 6,5 km od centrum Warszawy.

Jeśli jedziesz tam samochodem, musisz skręcić z Wołoskiej w ulicę Antoniego Uniechowskiego. Dostaniesz się tu także tramwajem linii 31 oraz autobusami – na przystanku „Domaniewska" zatrzymują się autobusy linii 136, 138, 218, No1, N33, N34, Z1, Z2, a na przystanku „Rzymowskiego" – 165, 189, 317, 365, 401, 402, 504. A jeśli zdecydujesz się na jednoślad, to sto metrów od obiektu znajdziesz stację roweru miejskiego.

Zaufanie do solidnej marki

Kangu Self Storage to jedna z największych i najstarszych tego typu firm w Polsce – pierwszy magazyn powstał 2011 roku. Oprócz lokalizacji w Warszawie, można ich znaleźć także w Poznaniu, Szczecinie i Wrocławiu. Systematycznie rozbudowują swoje obiekty, bo takie jest zapotrzebowanie ze strony klientów. W kwietniu powiększą magazyn we Wrocławiu o kolejne 1000 metrów, natomiast latem ruszy rozbudowa obiektów w Poznaniu i Szczecinie.

Choć w ciągu ostatnich lat powstało w Polsce kilka innych, konkurencyjnych firm tej branży, Kangu Self Storage wciąż się rozwija, a to rodzi zaufanie.

Marta Kowalska

Kangu Self Storage

https://kangu24.com/pl

Oddział Mokotów:
ul. Wołoska 16
02-675 Warszawa
tel.: +48 724 31 31 31
mail: warszawa.mokotow@kangu24.com
Biuro czynne od poniedziałku do piątku w godzinach 9-20 oraz w soboty i niedziele w godzinach 10-18.

Zwierzaki w pracy – nietypowy benefit pozapłacowy

Jeżeli myślisz, że czworonogi w miejscu pracy to nieszablonowy pomysł, co powiesz na dwie alpaki zamieszkujące na stałe w siedzibie jednej z japońskich firm? Ich zadaniem jest poprawianie samopoczucia zestresowanych pracowników...

Prószyński Media, CD Projekt, Mars Polska, Fujifilm czy Nestle Purina to tylko kilka firm, które pozwalają swoim pracownikom przyprowadzać pupili do pracy. Ponad dwa lata temu w samej Warszawie firm przyjaznych zwierzętom było kilkanaście. Dzisiaj jest ich już zapewne dwa razy więcej. A to za sprawą mocnej pozycji pracownika na rynku pracy, która wzrasta z każdym kolejnym kwartałem.

Firmy coraz częściej narzekają na brak rąk do pracy i dużą rotację pracowników. Dlatego decydują się na coraz bardziej dziwne rozwiązania, dzięki którym kandydaci oraz obecni pracownicy spojrzą na nie przychylnym okiem. Obok oferty „wyświechtanych" benefitów pozapłacowych, takich jak służbowy samochód, telefon, ubezpieczenie medyczne czy karta sportowa, firmy coraz częściej chwalą się mniej standardowymi pomysłami w tym zakresie. A jednym z nich jest właśnie możliwość przyprowadzania przez pracowników swoich zwierząt do pracy.

Czworonogi sposobem na skołatane nerwy

Ten pomysł na początku może wydawać się trochę zwariowany i oderwany od rzeczywistości. Jak to możliwe, żeby w biurze zalegały psy lub po biurkach szwendały się koty? I do tego wyobraźmy sobie np. taką sytuację: szef prosi pracownika o pilne opracowanie jakiegoś materiału, a ten mu odpowiada, że jasne, nie ma sprawy, tylko musi najpierw wyprowadzić psa. Jak wróci za 15 minut to do tego siądzie. A do tego jeszcze rozmaite alergie współpracowników albo agresywne zachowania niektórych pupili wrażliwych na różne bodźce...

To wszystko może okazać się błahostką, bo udowodniono, że zwierzaki w pracy nie tylko pomagają zredukować stres pracowników, ale również zwiększają ich przywiązanie do firmy w której pracują.

Z raportu „Pet-Friendy Workplace PAWrometer" z 2016 r. wynika, że 82 proc. pracowników przyznaje, że zabieranie czworonoga do pracy zwiększa ich lojalność wobec pracodawcy. 79 proc. zatrudnionych zgodziło się, że obecność ich psa w biurze wpłynęła na poprawę relacji w miejscu pracy. Z drugiej strony aż 91 proc. pracodawców stwierdziło, że morale podwładnych wzrosło i zmniejszył się ich poziom stresu, odkąd w biurze towarzyszą im zwierzęta.

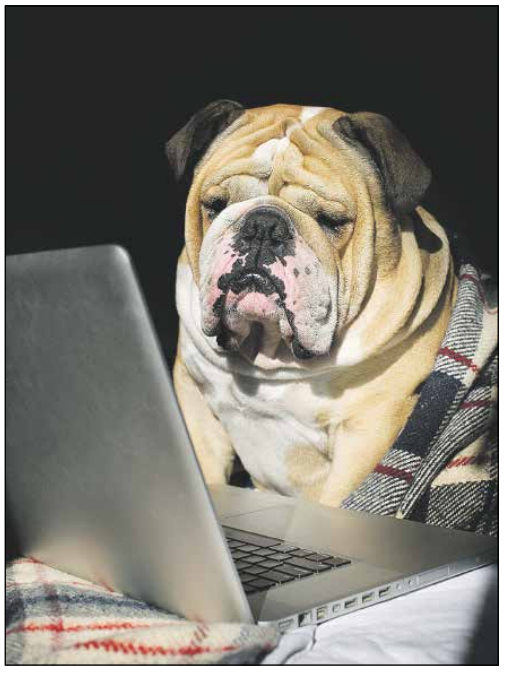

Zanim zdecydujesz się przyprowadzić pupila do pracy

Warto pamiętać, że biuro będzie dla czworonoga zupełnie nową przestrzenią, w której na dodatek będą przebywały jeszcze inne zwierzęta. Dlatego prócz umożliwienia „przedstawienia" (obwąchania) innych pupili, warto przygotować dla swojego psiaka lub kota karmę, miseczkę oraz zabawkę (najlepiej te, które zna i lubi). Nie można również zapominać o regularnym spacerach.

Natomiast pracodawca, który decyduje się zaprosić do siebie zwierzaki, powinien przede wszystkim zapewnić im miejsca (np. na legowiska) blisko opiekunów. Najlepiej, jeżeli będą one umiejscowione możliwie daleko od ciągów komunikacyjnych. Można na przykład przygotować pomieszczenie do pracy przeznaczone specjalnie dla pracowników z pupilami.

Aspekty prawne

Pracodawca musi pamiętać jeszcze o przepisach prawnych związanych z takim przedsięwzięciem, które dotyczą ochrony zwierząt oraz prawa pracy. Należy rozważyć m.in. takie elementy jak bezpieczeństwo pracowników i zwierząt, higiena pracy oraz wpływ czworonogów na organizację pracy ich właścicieli, w szczególności w kontekście przerw na wyprowadzanie psa.

Dlatego wdrożenie projektu „zwierzaki w pracy" powinno poprzedzić przeprowadzenie wśród wszystkich pracowników ankiety, która pozwoli poznać ich zdanie na ten temat. Może się okazać, że niektóre osoby boją się obcych psów, mają silną alergię na sierść lub po prostu nie życzą sobie obecności zwierząt w miejscu pracy. Ich opinie powinny być w szczególności wzięte pod uwagę podczas ewentualnego przygotowywania rozwiązania kompromisowego. Inaczej może się okazać, że projekt, który miał łagodzić stres, stanie się tylko dodatkowym źródłem konfliktów.

Piotr Krupa

Studenta do pracy w korporacji zatrudnię

Kiedy etat w korpo opłaci się studentowi? Jakie są plusy i minusy takiej pracy? Na co warto uważać podczas rekrutacji?

Nie oszukujmy się – w większości przypadków milenials (czy młodszy), który decyduje się, by po maturze kontynuować naukę na uczelni, ma zapewnione jeszcze plus-minus pięć lat rozrywki.

Dziś studia rozpocznie każdy, kto zda maturę na 30 proc., można więc założyć, że dotychczasowy model przygotowania do pracy zawodowej niedługo się zmieni. Choć nie wiadomo, w którą stronę pójdą owe zmiany, to – jeśli popatrzeć na zachodnie trendy – łączenie nauki na uniwersytecie z pracą w korporacji będzie na porządku dziennym. Zresztą i w Polsce coraz więcej biur decyduje się na zatrudnienie ucznia szkoły wyższej.

Jak to robią na Zachodzie

W krajach anglosaskich nikogo już nie dziwi, że w szkołach średnich działają specjalni przedstawiciele wielkich korporacji, którzy oferują możliwość przyjęcia świeżo upieczonego studenta na płatne praktyki w normalnym biurze. I choć taka sytuacja może wydawać się dla nas dziwna, to wszystko jest tu niezwykle logiczne.

Do pracy w korporacji nie przygotuje nas żaden kierunek studiów. Ponadto uniwersytet uniwersytetowi nierówny, więc i z naszego dyplomu pracodawca nie dowie się za wiele; a przecież – koniec końców – na naszą ocenę nie złoży się pięć lat nauki, a kilkadziesiąt minut rekrutacji.

Wobec tego najprostszym rozwiązaniem wydaje się właśnie to promowane na Zachodzie, gdy korporacja bierze studenta pod swoje skrzydła. Firmie się to opłaca – uczeń uniwersytetu jest tańszy w utrzymaniu i można go dokładnie wyszkolić pod kątem określonego stanowiska, odkrywając w tym samym czasie jego cały potencjał.

Zaś taki student wzbogaca się już za młodu, zdobywa praktyczną wiedzę i doświadczenie na rynku pracy. Ma też szansę na automatyczne zatrudnienie tuż po otrzymaniu dyplomu, lub jeszcze przed tym faktem. Ponadto jest praktykantem, więc ma prawo uczyć się na własnych błędach, których popełnienie przez zwykłego pracownika wiązałyby się z bardzo poważnymi konsekwencjami.

Oczywiście wybór takiej drogi edukacyjno-zawodowej, to również ograniczenia w studenckim życiu rozrywkowym. Dodatkowo praktykant musi się przygotować na zmagania z urzędowymi formalnościami i synchronizacją uczelniano-biurowego grafiku.

Kiedy to się opłaca w Polsce

Choć opisany trend w Polsce jeszcze nie funkcjonuje powszechnie, to praca studenta w korporacji ma u nas praktycznie takie same plusy i minusy, jak wymienione wyżej. Choć zdarzają się też przykre wyjątki…

Podjęcie biurowej pracy przez studenta jest dla niego opłacalne, gdy uczęszcza na kierunek, który nie gwarantuje zatrudnienia w zawodzie (odpada więc medycyna czy elitarne specjalizacje w uczelniach technicznych); nie ma w planach doktoratu; posiada choć minimalne pojęcie o pracy w grupie, a jego alma mater nie ma w zwyczaju robienia problemów przy przyznawaniu statusów indywidualnego toku studiów lub indywidualnej organizacji studiów (a takich w Polsce jest wiele).

Z drugiej strony korporacja oferująca zatrudnienie atrakcyjne dla studenta, powinna gwarantować możliwość dostosowywania godzin pracy do harmonogramu akademickiego oraz jasno określić zakres obowiązków, zadań i docelowych umiejętności do nabycia na obejmowanym stanowisku. Ponadto wysokość miesięcznych zarobków nie powinna być niższa od sumy stypendiów rektorskiego i socjalnego.

Student w czasie rekrutacji powinien też otrzymać informację o możliwościach zatrudnienia na umowę o pracę po ukończeniu studiów (bo do tego czasu najprawdopodobniej będzie pracował „na zleceniu") oraz o tym, czy pracodawca uczestniczy w jakimś międzynarodowym lub rządowym programie rozwojowym, itp.

Pułapki

Ostatnią kwestią, na jaką niestety wciąż trzeba uczulać studentów rozpoczynających praktyki lub staże w korpo, jest uzyskanie wiarygodnego zapewnienia o wypłacaniu przez pracodawcę wyznaczonego wynagrodzenia.

Niestety, w Polsce nadal zdarzają się przypadki wykorzystywania młodych ludzi do pracy za darmo lub półdarmo, albo zmiany reguł w trakcie gry. Jeśli taka sytuacja przydarzy się komukolwiek, powinien bezzwłocznie zgłosić to do PIP-u lub innej organizacji zajmującej się naruszeniami praw pracowniczych.

Tomasz Rot

REKLAMA

KANGU SELF STORAGE

Brakuje Ci miejsca?

Otwieramy się na Twoje rzeczy!

Na hasło „Głos Mordoru" otrzymasz 1 miesiąc gratis!*

Nowy magazyn!

Mokotów
ul. Wołoska 16
724 31 31 31

Ursynów
ul. Poleczki 23
661 51 51 51

kangu24.com

magazyny od 1 m²

*Warunkiem skorzystania z promocji jest umowa na minimum 2 miesiące.
Promocja obowiązuje do 30.06.2018

PRZED SEZONEM MOTOCYKLOWYM

Czapki z głów, kaski włóż!

Śnieg spłynął a słońce coraz bezczelniej wychyla się zza chmur. Zima rzeczywiście już chyba dała sobie spokój. I bardzo dobrze. Zanim jednak wizjer kasku przysłoni Wam trzeźwość myślenia a pęd powietrza wdmucha w ciało potężną porcję endorfin i adrenaliny… warto pamiętać o kilku starych jak świat zasadach, żeby sezon motocyklowy był miły, przyjemny i przede wszystkim bezpieczny.

Zdjęcie prasowe: Honda

Po pierwsze: dopieszczamy sprzęt

Garaż, parking pod blokiem czy nawet duży pokój – bez względu na to, gdzie Wasz sprzęt zimował, należy mu się małe spa. Dlatego, zanim wrzucicie jedynkę i puścicie sprzęgło, poświęćcie chwilę na szybki przegląd.

Zapominalskich albo leniwych (chyba jednak leniwych, bo o jednośladzie ot tak się nie zapomina), którzy jesienią nie przygotowali motocykla do zimowania, czeka wizyta w serwisie, przegląd i wymiana oleju silnikowego. To absolutne minimum.

Jeżeli jednak w październiku udało się Wam wymienić olej, solidnie umyć i nasmarować sprzęt, teraz wystarczy tylko sprawdzenie poziomu płynów, hamulców, łańcucha i opon. Jeśli jednak nie czujecie się na siłach żeby zrobić to samodzielnie, zlećcie to zawodowcom. Dilerzy i serwisy motocyklowe bardzo często oferują przedsezonowe przeglądy za całkiem rozsądne pieniądze. Potrwa to dosłownie chwilę a Wy będziecie mieć pewność, że wszystko jest ok.

Pierwsze kilometry po długiej zimowej przerwie warto przejechać spokojnie i powoli. Wsłuchać się w silnik i sprawdzić czy wszystko działa jak powinno.

To wszystko? Jeszcze nie. Teraz musicie zadbać o siebie.

Po drugie: wracamy do formy

Cała zima spędzona na krześle za firmowym biurkiem na pewno nie pomogła w utrzymaniu formy. Nawet jeśli tyraliście na siłowni... tyłek i tak zaboli, możecie być tego pewni.

Tak, wbrew pozorom do jazdy na motocyklu potrzebna jest dobra kondycja. Motocykl swoje waży a gwałtowne manewry w sytuacji zagrożenia są trochę bardziej skomplikowane niż omijanie kałuży na rowerze.

Przed pierwszym weekendem warto się trochę rozgrzać i porozciągać. Uwierzcie, że kilka ćwiczeń zaprocentuje już na pierwszym zakręcie, przy mocniejszym hamowaniu albo nawet gdy przez nieuwagę położycie motocykl na boku podczas parkowania w garażu. Ktoś to żelastwo musi przecież podnieść.

Wasze ciało musi przypomnieć sobie, co to znaczy jazda na dwóch kołach. W motocykl zwyczajnie trzeba „się wjeździć". Chociaż z tym jest tak, jak z jazdą na rowerze – tego się nie zapomina.

Po trzecie: rewia mody i zdrowy rozsądek

Sezon motocyklowy to właściwie zawsze prawdziwa rewia mody. Producenci rzucają na sklepowe półki najnowsze modele kasków, butów i kombinezonów. Do wyboru, do koloru. I dobrze, bo w parze z wyglądem idą najnowsze rozwiązania dotyczące naszego komfortu i bezpieczeństwa.

Wciąż jest jednak spora grupa motocyklistów, która na motocyklu czuje się jak na plaży w Saint Tropez. Tenisówki, odsłonięte kostki i cieniutkie jeansy. To najprostsza droga do katastrofy. Wywrotka w takim stroju to – nawet przy małej prędkości – gwarancja pamiątki na całe życie. Pamiętajcie! Tu chodzi o wasze bezpieczeństwo!

Z drugiej strony jazda po mieście w pełnym motocyklowym rynsztunku to bardzo często męczarnia. Już dawno zrozumieli to producenci odzieży. Dzisiaj bez problemu kupicie wzmocnione buty które wcale nie wyglądają jak motocyklowe. Jeansy do jazdy na jednośladach wyglądają jak każde inne spodnie, ale mają wszyte solidne kevlarowe ochraniacze. Kurtki? Również pełny wybór, w dodatku ich krój i styl sprawiają, że spokojnie można wybrać się w nich na wieczorne piwo. Oczywiście pieszo.

Teraz wystarczy już tylko zebrać całą garderobę razem i solidnie zabezpieczyć ją przed wilgocią, bo wiosną na pewno popada, a nie ma nic gorszego niż parująca szyba w kasku czy przemoczone ramiona.

Jeśli planujecie dalsze wypady, warto zainwestować w wysokie buty i spodnie z Gore-Texu. Kilkadziesiąt kilometrów w jeansach i miejskich butach to bardzo zły pomysł.

Po czwarte: łeb na karku

Człowiek przez zimę trochę zardzewiał. Przyzwyczaił się do komfortowego fotela w samochodzie i przyjemnej izolacji od otaczającego świata. Na motocyklu jest inaczej. Tutaj nie mamy dachu i drzwi. Zagrożenie może nadejść w najmniej spodziewanym momencie i właściwie z każdej strony. Kierowcy samochodów muszą przypomnieć sobie widok jednośladu w lusterku wstecznym. Dajcie im trochę czasu i nikomu nie ufajcie. Mniej gazu i dwa palce na klamce hamulca to najprostszy sposób na zminimalizowanie zagrożenia.

Nie zapominajcie też, że do lata ciągle daleko. Na asfalcie nadal leżą tony soli drogowej, piasku i wszelkiej maści syfu, który nazbierał się przez zimowe miesiące. Może być ślisko i nieprzyjemnie, szczególnie na mokrym asfalcie. Zanim wiosenne deszcze solidnie wszystko zmyją, musi upłynąć trochę czasu.

Matka natura jest wredna i pewnie jeszcze nieraz zaskoczy. W końcu bywały już majówki z opadami białego dziadostwa. Niska temperatura to poważny wróg motocyklisty – i wcale nie chodzi tutaj o odzież. Opony motocyklowe nie lubią zimna, więc na zakręcie dużo łatwiej o wywrotkę. Na składanie się w winklach jeszcze przyjdzie czas. Cierpliwości.

Po piąte: spokój, kultura i szeroki uśmiech

Motocykl to najlepsze lekarstwo na korki. Wciśnie się wszędzie i wszędzie dojedzie, ale nie róbcie tego na siłę. Tutaj też potrzebny jest umiar, rozsądek i przede wszystkim kultura. Nie ma sensu przeganiać samochodów darciem się z wydechu czy klaksonem. Aż tak bardzo nie spieszy się nikomu, i te kilka sekund czekania to naprawdę niewielka korzyść.

Samochodziarze kontra motocykliści. Ten konflikt był zawsze i zawsze będzie. Tutaj obie strony muszą wykazać się wzajemnym szacunkiem, kulturą i zrozumieniem.

No i najważniejsze: miasto to nie tor wyścigowy, więc zanim odkręcicie do oporu na prostej po horyzont Puławskiej, nie zapominajcie, że nie jesteście sami. Bycie motocyklistą to nie tylko styl życia. To też przywilej przynależności do grupy ludzi, którzy kochają to co robią. Pozdrawiajcie się wszyscy lewą ręką, pomagajcie nawzajem i nie bójcie się pogadać z innymi bikerami, na przykład podczas tankowania. Kto wie, może z takiego spotkania wyniknie motocyklowa przyjaźń na całe życie…

Do przygody droga wolna

I to wszystko. Niewiele, prawda? Kiedy już zrobi się naprawdę ciepło, a wy „wjeździcie się" w sprzęty i znów nabierzecie pewności oraz zaufania do motocykla, do przygody droga wolna. Weekendowe wypady za miasto czy wakacyjne wyprawy po Europie... czego chcieć więcej? Na tym polega jazda na motocyklu. No, szkoda dnia. Zamykać laptopy i biegiem do garażu odpalać sprzęty! Asfalt stygnie!

Kacper Wyrwas (www.kacperwaucie.com)

REKLAMA

Po-rowero-waliśmy

Ponad piętnaście tysięcy osób odwiedziło „Bike Expo – Narodowy Test Rowerowy" na Stadionie Narodowym!

Rowerowe atrakcje i gwiazdy

Impreza odbyła się 24 i 25 marca. W te dwa dni na zadaszonej płycie stadionu działo się naprawdę wiele: otwarto uroczyście mobilne muzeum 90 lat Tour de Pologne, chętni wzięli udział w Narodowym Teście Rowerowym oraz w pierwszych w historii amatorskich wyścigach kolarskich. Była też wystawa rowerów i akcesoriów rowerowych, a także seria spotkań z gwiazdami kolarstwa szosowego i MTB oraz specjalistami od rowerowego fittingu i treningu. Wśród gwiazd kolarstwa byli m.in. Maja Włoszczowska, Jolanda Neff i Czesław Lang.

59 tysięcy

Prawie trzysta rowerów zostało przetestowanych przez niemal 3 tysiące osób! Atrakcją była też strefa expo. Najtańszy wystawiany tam rower kosztował 300 zł a najdroższy... 59 tysięcy! Znalazł się wśród nich również najlżejszy (4,56 kg) seryjnie produkowany rower szosowy na świecie oraz rowery zawodnicze.

90 lat Tour de Pologne

Czesław Lang, który od ćwierćwiecza odpowiada za organizację Tour de Pologne, podczas otwarcia mobilnego muzeum tej imprezy powiedział: „To wyjątkowy rok dla Tour de Pologne. Wyścig obchodzi 90-lecie, w tym roku odbędzie się 75 edycja. Chcemy razem świętować rocznicę 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Kolarze również włączali się do walki o wolność, o czym można przekonać się, zwiedzając pierwsze na świecie mobilne muzeum poświęcone naszej dyscyplinie".

Wyścig łączący pokolenia

W Narodowym Wyścigu Niepodległości chętni mogli uczcić 100 lat niepodległości Polski poprzez integrację pokoleniową, czyli ściganie się różnych grup wiekowych. Długość okrążenia toru kolarskiego wyniosła ok. 300 m, a emocji wśród startujących amatorów nie zabrakło. Dyrektorem zawodów był sam Czesław Lang.

„Głos Mordoru"

Uzupełnieniem licznych atrakcji było stoisko „Głosu Mordoru" na którym Gandalf rozdawał gościom wiosenny numer naszego miesięcznika.

Redakcja

REKLAMA

KORPOMAMA

Kulturalne wyjście

Są rzeczy w życiu, na które normalny człowiek, czyli taki bez małych dzieci, nie zwraca uwagi. Może myśleć, że to jest słabej jakości lub powinno być zakazane, ale raczej po prostu mija to z obojętną miną, bez refleksji.

Mówię tutaj o wszelkim badziewiu które rozstawia się zawsze przy każdym miejscu kulturalnym lub przy większych skupiskach ludzi.

Ostatnio z młodą odwiedziłyśmy Ogród Świateł w Wilanowie. Wyprawa przebiegła spokojnie, nic nie zapowiadało katastrofy. Przed bramą czyściutko, żadnych straganów, tylko pudło z kuleczkami za jedyne dwa złote. „Super, tutaj nikt nie stoi, będzie miło".

Wizyta w Ogrodzie była udana, młoda zachwycona: „Fsystkie zwiezęta były: motylki, ślimaki i pcoły" – słowem wszystkie zwierzęta świata. Zadowolone wyszłyśmy z muzeum, idziemy świetlnym tunelem, pięknie gra Chopin w tle, cudnie to wszystko wygląda.

Ale widzę, im bliżej końca ścieżki, że zbliża się katastrofa: oto są już wszelkiej maści baloniki, kręciołki, rogi, pałeczki i inne badziewie świecące, migające i grające. A każdy rodzic czterolatka wie, co to oznacza... W głowie pulsuje myśl „Co by tu zrobić, co by tu zrobić??". Młoda jeszcze nic nie zauważyła, jeszcze Chopin jej się podoba, więc rozważam kilka wariantów:

a. Przeskoczyć przez płot, wcisnąć się w świecące pałąki i pobiec przez trawnik – będziemy udawać skradające się koty. Niestety, ten płot jest dosyć wysoki, więc ciężko będzie przez niego przeskoczyć.

b. Wrócić do Ogrodu i tam pochodzić do zakończenia pokazów – co najwyżej odmrozimy siebie nogi i uszy, ale histerii nie będzie.

c. Udać zawał serca, dobrzy ludzie odprowadzą nas do samochodu – dziecko przejęte chorobą mamy przebiegnie szybko obok świecidełek.

d. Zachować się pedagogicznie i zrobić wykład na temat ochrony środowiska, wyzysku dzieci i o trującym plastiku.

Oczywiście wszystko to nierealne. Więc idę twardo przed siebie udając, że nic nie ma. Jednak za daleko nie zaszłyśmy. Dzieci widzą wszystko czego nie chcemy im pokazać.

„O mamo!! Patrz jakie piękne!" i się zaczyna: że tylko jedno, że obiecuje, że nic więcej nie chce, że już nigdy w życiu nic nie będzie chciała, że to jest to o czym ZAWSZE marzyła, że nawet w nocy jej się to śniło, że wszystkie dzieci to mają (oczywiście wcześniej tego nie widziała). Cudem udało się wytłumaczyć, że nie kupujemy, że może popatrzeć, że to ciężka praca sprzedawać na tym mrozie. Uff! z opuszczoną głową i powłócząc nogami skierowała się do samochodu. Niestety – zapomniałam, że przecież jest jeszcze pudło z kulkami. No i foch narasta: że tylko jedna, że taka malutka, że obiecuje. Znowu się udało, ale głowa już opuszczona na maksa, jednak dała się zagadać o „pcoły" i inne zwierzęta. Uff, jednak ten wieczór nie będzie stracony – dumna jestem z moich metod wychowawczych.

A tu nagle, przy samym wyjeździe z parkingu „Oooooo! Maaaaamoooo! Widzę znak frytek!" – i tutaj ratunku już nie było. Płacz do samego domu, że nic nie chciałam jej kupić, że ona głodna jest, że jej jeść nie daję. I tak się skończył kulturalny wieczór.

Dorota #MamaPolki

KORPOTATA

Wiosno przyjdź

Z zimą jest trochę jak z wizytą dalekich krewnych. Przyjemnie spędza się z nimi czas przez jeden, dwa dni, ale potem ich towarzystwo staje się męczące. Zawsze nie lubiłem tej pory roku. Ciemno, zimno, ślisko, depresja i marazm. Nigdy nie zrozumiem osoby, która mi powie, że uwielbia zimę. Dla mnie jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, że ze wszystkich piłkarskich lig na świecie, ktoś najbardziej lubi ligę polską.

Od kiedy zostałem rodzicem, a mój kochany synek zaczął uczęszczać najpierw do żłobka, a potem przedszkola, to nienawiść do zimy urosła do tego stopnia, że zabrakło dla niej skali na polskim mierniku nienawiści.

Gdy tylko temperatura spada w okolice zera, stajemy się to podstawa. Dlatego lecimy szybko do domu i rzucamy się do szafki z lekarstwami po syrop na odporność, „psikacz" do gardła zabijający zarazki, syrop przeciwzapalny i stos witamin. Do tego szybka zmiana odzieży wierzchniej. Kiedyś chcieliśmy nawet te skażone ubrania palić, ale nie mamy za bardzo gdzie, no i dosyć szybko skończyłaby się nam garderoba dla młodego.

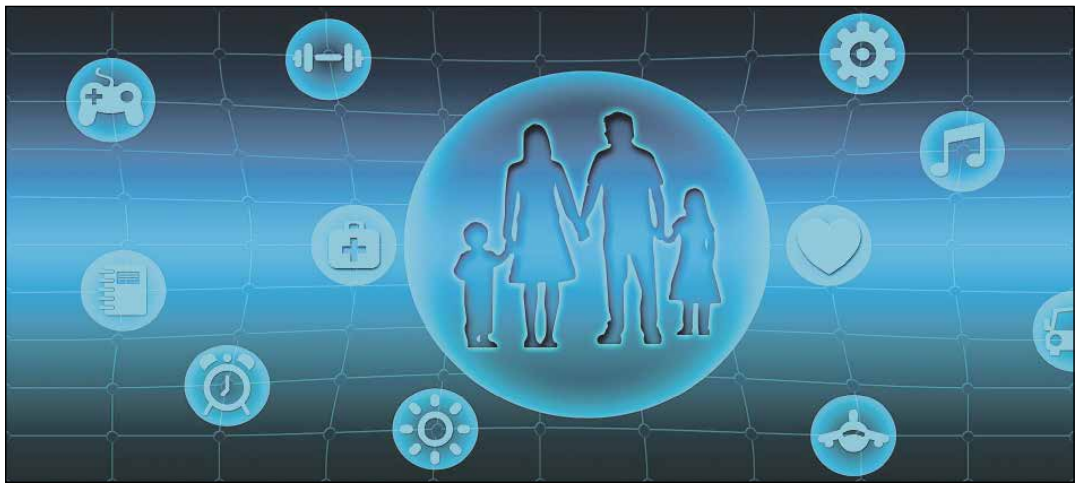

z małżonką wyjątkowo czujni. Wszystko przez wirusy i bakterie, które oznaczają chorobę, która z kolei oznacza siedzenie w domu. A to wiąże się ze zwolnieniem, które przekłada się na zaległości w pracy, a te znowu wpływają negatywnie na samopoczucie, które i tak jest zdewastowane przez okrutną zimę.

Do pierwszej choroby w naszej rodzinie panuje względny spokój i żyjemy normalnie. Chociaż zdarza się nam czasem wybiec ze sklepu zostawiając wózek pełen zakupów, bo przy stoisku z warzywami usłyszeliśmy dwa kichnięcia i kaszlnięcie. Wiadomo: profilaktyka

W takim modelu prewencji trwamy przez pierwsze tygodnie zimy. Nic się nie dzieje, a my oddychamy z ulgą, że w końcu w tym sezonie będzie inaczej. A to usypia naszą czujność i... raz lub dwa zapominamy o syropach. Przecież nic takiego się nie stało – pocieszamy się z żoną, choć i tak już wiemy, że najdalej za trzy dni Jasiek będzie chory.

Potem jest już z górki.

Dwa kichnięcia i lekkie odchrząknięcie w niedzielny wieczór, a w poniedziałek rano siedzimy w przychodni i gramy w marynarza o to, kto tym razem weźmie zwolnienie.

Co ciekawe, w okolicach marca, kiedy sezon chorobowy zbliża się ku końcowi, my bywamy w przychodni tak często, że powinniśmy na parkingu mieć już własne miejsce. Wszystkie leki znamy na pamięć, a do lekarza przychodzimy właściwie tylko by utwierdzić się w postawionej przez nas diagnozie, po zwolnienie i oczywiście po naklejkę „dzielny pacjent".

Do tego to długotrwałe siedzenie w domu... bo wiadomo: skoro jest weekend, to trzeba się wykurować. I tak oto większość zimowych weekendów spędziliśmy niemal w całości w domu. Po siódmym lub ósmym razie atrakcją stawało się wyjście do Lidla na zakupy. Słyszałem, że gdzieś tam, na mieście, są nawet imprezy i tańce, ale dla mnie to były odległe galaktyki, jak opowieści ludzi, którzy widzieli yeti.

Właśnie dlatego pierwsza myśl, która mnie dopada, kiedy wstaję rano, to: oby do wiosny!

Piotr Krupa

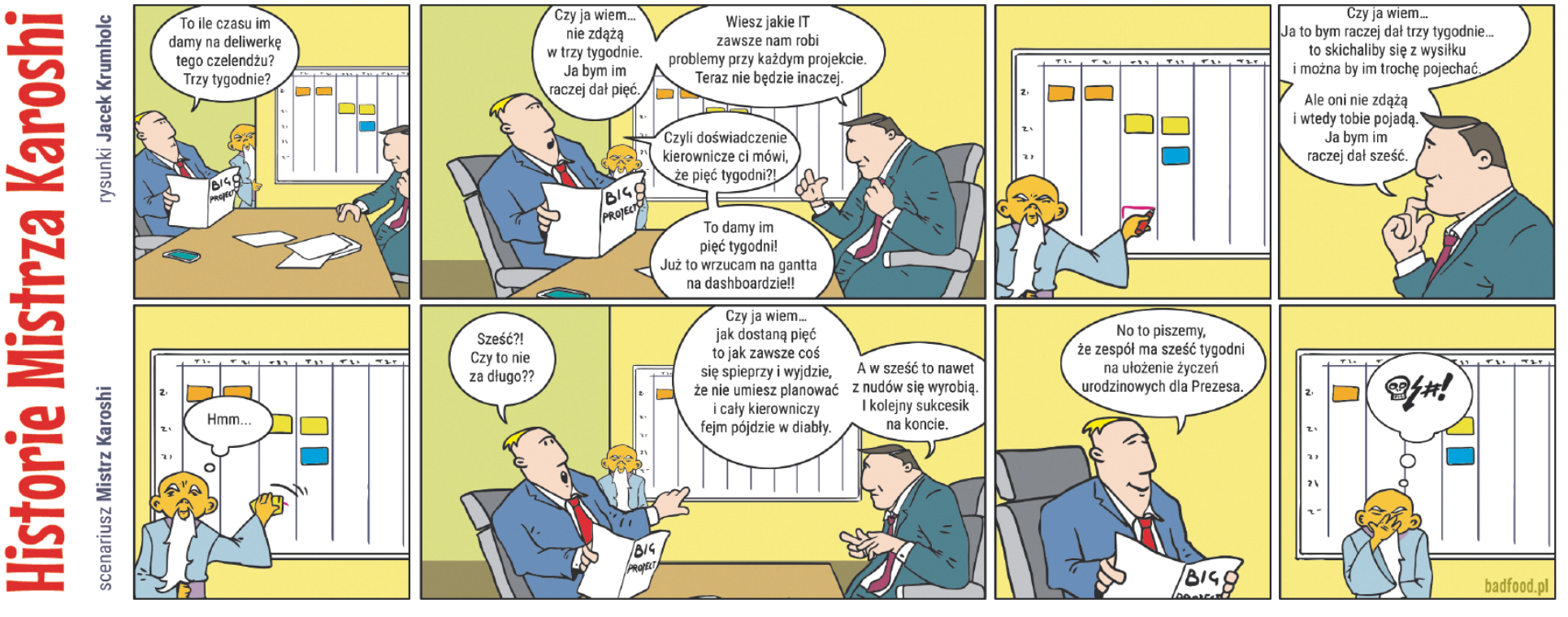

Sypiasz jak delfin, czy wilk?

Delfin, lew, niedźwiedź i wilk to cztery chronotypy, które określają porę dnia, kiedy jesteśmy najbardziej produktywni.

Dr Michael Breus w książce „Potęga KIEDY. Żyj w zgodzie ze swoim naturalnym rytmem" twierdzi, że każdy z nas należy do jednego z czterech typów „spaczy" (chronotyp). W związku z tym możemy być maksymalnie produktywni dopiero wtedy, gdy będziemy postępować zgodnie z naszą wewnętrzną naturą i profilem snu. Breus dzieli ludzi na cztery kategorie, których rytm odpowiada rytmowi niektórych gatunków zwierząt. Czy zatem jesteś delfinem, lwem, niedźwiedziem czy wilkiem?

Delfin

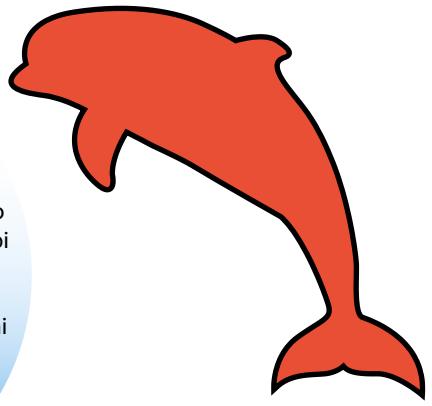

Ma lekki sen, łatwo się wybudza i często ma problemy z zasypianiem. Bywa, że cierpi na bezsenność. Powinien budzić się około 6.30 i rano zajmować się pracą kreatywną, a po południu sprawami niewymagającymi intelektualnego wysiłku. Między 13 a 16 odczuwa spadek energii i nie powinien pracować (zamiast tego może np. ćwiczyć). O 23.30 powinien już leżeć w łóżku.

Lew

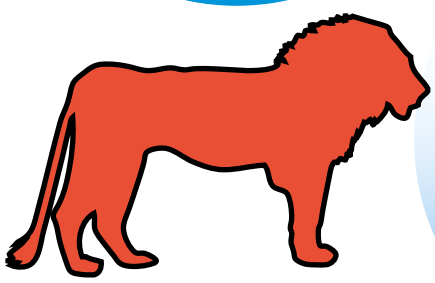

Budzi się bardzo wcześnie rano i ma mnóstwo energii. Wieczorem jednak jest kompletnie wyczerpany i zasypia przed telewizorem. Lew budzi się około 5.30/6.00 rano. Jego szczyt produktywności zaczyna się już pół godziny po obudzeniu i trwa do około 10. Między 10 a 12 powinien pracować nad mniej wymagającymi projektami, bądź realizować zebrania i kończyć pracę maksymalnie o godz. 17.

Niedźwiedź

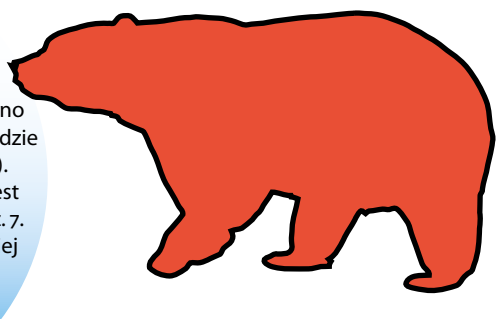

Jego wewnętrzny zegar jest bardzo mocno związany ze słońcem (dlatego zimą niedźwiedzie z reguły są mocno niedoenergetyzowane). Potrzebuje pełnych 8 godzin snu, inaczej jest niewyspany. Wstawać powinien około godz. 7. i pracować dopiero od 8:00/8:30. Najbardziej efektywnie pracuje między 10 a 12; około 14.30 przydałaby się mu drzemka. Jest w stanie efektywnie pracować również między 20 a 22.

Wilk

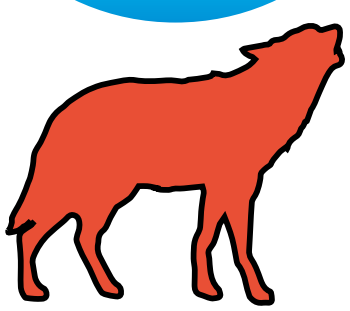

Bardzo trudno jest mu rano wstać. Praktycznie nie może się dobudzić. Za to wieczorem jest mocno energetyczny i świetnie mu się pracuje. Dobrą godziną na rozpoczęcie pracy jest 9. Najbardziej efektywny jest do 13. Potem powinien zrobić sobie przerwę, zaś między 16 a 18 może odbywać spotkania i wykonywać mniej ważną lub niewymagającą wysiłku pracę.

Materiał specjalnie dla „Głosu Mordoru" przygotował portal infopraca.pl

ilustracje: Freepik

SUPRADENT
KLINIKA STOMATOLOGII ESTETYCZNEJ I ORTODONCJI

ORTODONCJA
PROTETYKA
ENDODONCJA
IMPLANTY
CHIRURGIA
PERIODONTOLOGIA
STOMATOLOGIA ESTETYCZNA
MEDYCYNA ESTETYCZNA
LECZENIE MIGRENY
DIAGNOSTYKA RADIOLOGICZNA

ul. Biały Kamień 1 lok. U1 (róg ul. Żaryna)
02-593 Warszawa

TEL. +48 606 315 315 KOM. +48 662 272 441
WWW.SUPRADENT.PL
supradent@supradent.pl

Dla czytelników Głosu Mordoru od 1 kwietnia do 31 maja 2018 oferta specjalna na **wybielenie zębów metodą gabinetową, lampą Beyond Polus Advanced**

Teraz tylko ~~2000 zł~~ 1500 zł

Mordor na fejsie ma już 5 lat!

15 marca 2018 roku świętowaliśmy 5. urodziny „Mordoru na Domaniewskiej" – fanpage'a wyśmiewającego absurdy pracy w korporacji. Impreza odbyła się w pubie Lolek, a przybyło na nią ponad dwustu orków z korporacji!

Huczne obchody rozpoczęliśmy już o godz. 18. Na ściance z logotypami partnerów i sponsorów imprezy można było sobie zrobić zdjęcie w ramce: „Bawimy się na 5. urodzinach Mordoru na Domaniewskiej". Na strudzonych korpo-życiem czekały asapiexy oraz orkdogi, a także tuby piwa (dla prawdziwych orków). Około godz. 19. imprezę oficjalnie otworzył Piotr Kędzierski vel Kędzior.

Jako pierwsi na scenie pojawili się Mordorsi – rockowy zespół, który w swoim repertuarze ma zarówno wiele coverów, jak i humorystycznych piosenek z gatunku korpoetnorocka. Po kilku utworach, dzięki którym udało się złapać oddech po ciężkim dniu, przyszła kolej na przemówienie założyciela i głównego przewodniczącego orkowej inicjatywy – Rafała Ferbera.

Rafał opowiedział jak doszło do powstania fanpage'a „Mordor na Domaniewskiej" i dlaczego jest to wyjątkowe miejsce zarówno w sieci, jak i na Mokotowie. „Fanpage stworzyłem dla jaj, by wylać trochę żalu na życie, które kręciło się głównie wokół pracy. Ja miałem swoje targety, mój szef miał swoje targety, nie istniało takie pojęcie, jak życie prywatne. Szybko okazało się, że nie tylko ja mam takie problemy, jest nas w samej Warszawie aż 150 tysięcy!".

Po wystąpieniu Rafała i konkursie z wiedzy o korpo-życiu w stolicy, wysłuchaliśmy Grega Albrechta – coacha, który korpo-życie ma już za sobą. Jego 30-minutowy speech dotyczył tego, jak nie dać się pochłonąć przez targety, deadline'y i szefów, którzy chcą nam wmówić, że poza pracą i projektami nie ma nic ważniejszego. Doradził, co robić, by nie wypaść z obiegu i jak zachować dystans, kiedy wszystko co robimy jest ASAP.

Po wystąpieniach Rafała i Grega na scenę wrócili Mordorsi. Imprezę zamknął DJ Brother, który zagrał ulubione hity „dla orków po godzinach".

Ponieważ to były urodziny, nie mogło zabraknąć prezentów. Wszyscy goście otrzymali bawełniane torby z logo „Mordoru na Domaniewskiej", w których znaleźli upominki od sponsorów i partnerów imprezy. Kolejne huczne świętowanie orkowej inicjatywy dopiero za rok!

Opr. Mordor na Domaniewskiej team

REKLAMA

Relaks umysłu i ciała w weekend

Kameralne spotkania biznesowe w tygodniu

Uzdrawiające i odprężające pobyty w SPA

Różana Rezydencja
WELLNESS

Tylko godzina drogi od Warszawy

+ 48 509 494 125
WWW.ROZANAREZYDENCJA.PL
RECEPCJA@ROZANAREZYDENCJA.PL
ZARĘBÓW 18 99-320 ŻYCHLIN

Zdrowy tryb życia zniszczył mi życie

Siłownia, fitness, crossfit, basen, jogging, pięć posiłków dziennie. Wyliczone makroskładniki i nieprzetworzone, bezglutenowe bioprodukty. Do tego arsenał suplementów diety, witamin, ziół i... kalectwo gotowe. Dziś możemy stwierdzić z całą pewnością – Zachód popadł w fit-paranoję! Zyskują na niej branże zdrowej żywności, suplementów diety i marki fitness, a tracą zwykli zjadacze chleba, którzy zgubili złoty środek w dbaniu o siebie. Jak do tego doszło? Przekonajmy się na „żywych przykładach".

Marek: Straciłem zdrowie i pieniądze

Ten cały koszmar zaczął się od przerwy... Od przerwy w korpo, na którą zawsze wychodziłem po przepracowaniu połowy zmiany. A tak dokładnie – od lunch-breaków, na które trzy lata temu ja i piątka moich korpo-ziomków wychodziliśmy niemal codziennie. Najpierw na żarcie, później na papierosa lub trzy – rutynowe 45 minut, ale zawsze było przyjemnie. Aż tu nagle do akcji wkroczyły multisporty.

Wcześniej dwóch z naszej szóstki chadzało sobie na siłkę i nikt się z tym nie obnosił. Lecz po pewnej rekrutacji team zasiliło kilku gogusiów, którzy jeszcze nie otrząsnęli się ze studenckiego życia. A w naszej ekipie pojawiła się zazdrość i z dnia na dzień wszyscy prócz mnie stali się fit. Każdą przerwę wypełniały rozmowy o ćwiczeniach, suplach i diecie – nawet przy fajku. Po miesiącu i ja skapitulowałem. Kupiłem co trzeba, poszedłem na siłkę, wgłębiłem się w temat.

Przez pierwszy kwartał było mi ciężko, ale później robiłem już wszystko jak automat. W rok zrzuciłem osiem kilo, trzymałem dietę, testowałem wszystkie nowości z świata suplementacji. Po półtora roku z sześciu fitnesiaków ostał się tylko jeden, czyli ja, ale wkręcony na maxa.

Mój trener personalny oszacował, że super kaloryfera dorobię się po jakichś 30 miesiącach. Ale ja chciałem szybciej – no bo tak, bez żadnej przyczyny. Więc zacząłem trenować przez pięć dni w tygodniu, wykupiłem catering dietetyczny, ekstra treningi i suple z USA. Gdy okazało się, że moje oszczędności nie wystarczą, klub zaoferował mi kredyt w przystępnych ratach. Przekonali mnie. I wtedy wrzuciłem wyższy bieg.

Szedłem jak burza. Całkowicie skupiałem się na celu. I po dwudziestym miesiącu wreszcie... złapała mnie kontuzja pleców. Okrutny ból. Tydzień na zwolnieniu. Istny dramat. Lekarz zalecił mi trzy miesiące bez siłki, a potem lekkie ćwiczenia. Bez szans na powrót do dawnej intensywności. Tak samo jak bez szans na odstąpienie od kredytu. A za to z perspektywą spłaty pozostałych dwudziestu kilku rat.

Przez pierwsze tygodnie bez siłki miałem napady schizy. Już nawet w lustrze widziałem, jak mięśnie zamieniają mi się w tłuszcz. Szybko pojawiły się stany depresyjne. Jednak trzeba było czymś zapełnić czas i wtedy przypomniałem sobie o... moim życiu, które prowadziłem przed pójściem na siłownię.

Zacząłem normalnie spotykać się ze znajomymi i rodziną, nie odmawiałem wyjść do baru czy do restauracji, wróciłem do moich muzycznych zainteresowań. Funkcjonowałem w mniejszym pośpiechu, a poziom mojego komfortu wzrósł jak za dotknięciem magicznej różdżki. Jednak pieniędzy już nikt mi nie wróci, a ja już nie wrócę do bycia fit, bo to strata życia.

Angelika: Byłabym szczęśliwa, gdyby nie fit

Wydaje mi się, że przez całe życie jestem na diecie. Nigdy nie miałam wielkich problemów z otyłością, ale z nadwagą walczyłam już jako nastolatka. W liceum i gimnazjum testowałam diety i starałam się ograniczać posiłki. Jednak każdemu sukcesowi w zrzucaniu wagi towarzyszył efekt jojo. Miałam dość niską samoocenę, nie tolerowałam do końca swojej sylwetki i dlatego wciąż powracałam do odchudzania. Ale mimo wszystko miałam hamulce – w gimnazjum moja dobra koleżanka umarła z powodu powikłań wywołanych przez anoreksję i po tym wypadku pozostał we mnie strach przed śmiercią.

Przed maturą miałam 5 kg nadwagi, co nie było najgorsze dla dziewczyny o wzroście metr siedemdziesiąt. Trzeba było się uczyć, więc dałam swojemu umysłowi wolne od tematu sylwetki. Później przyszły studia. Mieszkając w akademiku raczej nie myśli się o dietach, więc problem odchudzania został jakby zawieszony na pięć lat. Pochodzę z Zamościa, studiowałam anglistykę w Lublinie, a później – jak większość znajomych ze studiów – wyjechałam do Warszawy, by tu znaleźć pracę. Po niecałym miesiącu poszukiwań trafiłam na rekrutację do dużej korporacji. Stanowisko było dobrze płatne i na początku wymagali przede wszystkim bardzo dobrej znajomości języka angielskiego. Przyjęli mnie i wtedy się zaczęło.

Nowi ludzie, nowe środowisko, zupełnie nowa sytuacja i niesamowity stres. Od pierwszego dnia czułam się najgłupsza ze wszystkich w biurze. Wydawało mi się, że wciąż robię coś źle, choć nikt mnie nie upominał. Jednak najbardziej obawiałam o przychylność otoczenia. Wszyscy kreowali się na ludzi sukcesu, a ja nie chciałam być gorsza.

Akurat wtedy weszła moda na zdrowy styl życia, więc weszłam w to. Miałam rozpisaną dietę, wykupione członkostwo z klubie fitness i 10 kg do zrzucenia. Na początku szło dobrze, a że od czasu do czasu opuszczałam jakiś posiłek (zazwyczaj przez zapracowanie), to ustanowiłam swój rekord: prawie 4 kg w miesiąc!

Jednak stare nawyki szybko dały o sobie znać i zaraz po pamiętnym rekordzie przytrafił mi się napad obżarstwa, również rekordowy. W jeden wieczór zjadłam tyle, co normalnie jem przez cały tydzień. I tak ładując w siebie całą lodówkę, pierwszy raz od miesiąca nie liczyłam kalorii. Nazajutrz pojawiły się problemy gastryczne i psychiczne; przez kolejne dwa dni – głodówka.

Po dwóch tygodniach sytuacja powtórzyła się. Potem znów minęły dwa tygodnie i to samo. A kolejna powtórka po tygodniu. Później już średnio dwa napady obżarstwa w tygodniu. Przez głodówki chodziłam non stop zmęczona, a przez nieplanowane objadanie się – zrozpaczona. Po kilku miesiącach pojawiły się stany depresyjne, problemy z koncentracją, ze snem, zaburzenia miesiączkowania, ale mimo to nie dawałam za wygraną. Znalazłam się w zamkniętym kole: napad obżarstwa; dzień głodówki; trzy dni diety z obniżoną ilością kalorii (by wyrównać nadwyżkę kaloryczną sprzed czterech dni); napad obżarstwa; głodówka itd.

W końcu, po trzech latach takiego życia, trafiłam na pogotowie. Bezpośrednią przyczyną było zasłabnięcie, lecz po dalszych badaniach okazało się, że mój układ pokarmowy nadaje się niemal w całości do wymiany, w prawie każdym mięśniu mam jakąś mikrokontuzję, a że wciąż jakoś funkcjonowałam z takim bałaganem hormonalnym, to cud.

Od tamtego czasu minął rok – rok intensywnej kuracji, przede wszystkim u psychologa i psychiatry; nauki normalnego jedzenia, bez liczenia kalorii, bez głodówek i bez obżerania; leczenia „jedzenia kompulsywnego", depresji, zespołu jelita drażliwego, wrzodów żołądkowych, refluksu, itd.

Wciąż nie umiem jeść normalnie i najprawdopodobniej do końca życia nie powrócę do zupełnie normalnych relacji z jedzeniem. Na siłownię chodzę dwa razy w tygodniu – na więcej nie pozwala psycholog. I tak sobie myślę, jak szczęśliwym byłaby dziś człowiekiem, gdybym nie postanowiła być fit.

Fit oszustwo

Takich przypadków jak te dwa, są w naszym społeczeństwie tysiące. Często nie zauważamy osób pogrążonych w fit-paranoi, bo „zdrowy tryb życia" doskonale maskuje ich problemy.

Obecnie „świat fit" wygląda tak, że większość suplementów diety nie działa, uprawnienia do wykonywania zawodu trenera personalnego można kupić, sieci fitness żerują na naszej naiwności. Rozgłasza się, że niezależnie od genetyki, uwarunkowań organizmu czy trybu życia można szybko osiągnąć idealną sylwetkę, a nikt nie mówi, że zła dieta może nieodwracalnie uszkodzić nasz organizm...

Warto więc pamiętać, by od „zdrowego trybu życia" ważniejsze było zawsze po prostu nasze życie.

Tomasz Rot

Brexitowy dylemat

Po decyzji o Brexicie przed naszymi rodakami żyjącymi na Wyspach Brytyjskich pojawiło się – zapewne ponownie – pytanie, czy wracać do ojczyzny. Czy wynik brytyjskiego referendum z czerwca 2016 r. zachęcił Polaków do powrotu?

Wskaźnik migracji netto w Wielkiej Brytanii (napływ minus odpływ ludności) jest na poziomie dodatnim od roku 1994. Niemniej jednak wygląda na to, że ostatnio chętnych do osiedlenia się na wyspach jest dużo mniej, niż zwykle. Brytyjskie biuro statystyczne (Office for National Statistics) od czerwca 2016 roku – czyli od ogłoszenia wyników referendum – notuje ogromny spadek tego wskaźnika. Po drugiej połowie 2016 r. migracja netto zmniejszyła się do rekordowo niskiego rocznego poziomu. Oznacza to, że od drugiej połowy 2016 r. liczba chętnych do osiedlenia się spadła, a zarazem wzrosła liczba opuszczających Wyspy. W raporcie z listopada ubiegłego roku biuro ONS podaje, że jedną trzecią tego spadku spowodowali obywatele Unii Europejskiej, w tym Polacy.

Czy nasi rodacy chętnie wracają do kraju w obawie przed skutkami Brexitu? Jaką lekcję musimy odrobić my wszyscy w wyścigu po sukces?

Żeby wrócić trzeba mieć pracę

Małgorzata jest rekruterką w globalnej korporacji, która ma oddział w Warszawie. Jej zdaniem liczba Polaków, którzy mieszkają w Wielkiej Brytanii, a kandydują do pracy w Warszawie, wzrosła od czasu referendum.

Bywa jednak, że oferowane stawki nie są wystarczająco konkurencyjne w stosunku do obowiązujących w Anglii i z tego względu nie każdy kandydat akceptuje oferty polskich pracodawców.

Z drugiej strony, według Małgorzaty, błędnie zakłada się, że warunki pracy w Wielkiej Brytanii na pewno są lepsze niż te w Polsce. Sama często słyszy np. o niewynagrodzonych nadgodzinach pracowników w Anglii.

Małgorzata zastrzega też, że powracający z Wielkiej Brytanii niekoniecznie łatwiej odnajdą się w kulturze korporacyjnej. Podczas rozmów rekrutacyjnych dowiaduje się często, że zakres obowiązków pracownika za granicą jest szerszy, niż na podobnym stanowisku w polskiej korporacji – to bywa dużym wyzwaniem dla powracających Polaków. Niektórym trudno przyzwyczaić się do takich realiów.

> „Stanowiska i zakresy obowiązków w polskich korporacjach bywają dużo bardziej zawężone. Wstrzelenie się w przypisaną rolę może być trudne dla kogoś, od kogo oczekiwano samodzielności w podejmowaniu decyzji.

Zaznacza też, że dla Polaków powracających z Wielkiej Brytanii atrakcyjna pod kątem rozwoju kompetencji może być wielokulturowość warszawskich korporacji. Stołeczne firmy przyciągają coraz więcej obcokrajowców, którzy nierzadko doskonale radzą sobie z językiem i wiążą z Polską długofalowe plany.

Tylko warunki i zarobki?

Wysłuchajmy głosów osób, którym wynik referendum namieszał w głowach i zmusił do wyboru pomiędzy pozostaniem w Wielkiej Brytanii a powrotem do Polski Czy w dylemacie chodzi tylko o warunki pracy i wyrównane zarobki?

Na obczyźnie jak w domu

Manuel nadal mieszka w Londynie. Rezyduje w Wielkiej Brytanii od około 10 lat. Czuje się tu świetnie, zawiera znajomości z ludźmi z różnych stron świata, bierze udział w spotkaniach z artystami.

Za powrotem do Polski przemawiają – według niego – wyższy komfort życia oraz bliskość rodziny, bo więzi rodzinne są dla Manuela istotne. Jednak jego poczucie tożsamości narodowej jest sprawą skomplikowaną. Manuel urodził się na Kubie, a wychował i dorastał w Polsce. Podwójne obywatelstwo bywało dla niektórych jego szkolnych kolegów powodem zaczepek i szyderstw. Tak było dawniej. Dziś dorosłego Manuela zniechęcają ruchy ultranacjonalistyczne, o których czyta w internecie i brak wyraźnych reakcji potępiających tego typu zachowania.

Na pytanie o poreferendalne nastroje związane z obcokrajowcami, odpowiada, że decyzja Brytyjczyków o wyjściu z unii zatrzęsła Londynem. Pomimo że po kilku tygodniach życie codzienne wróciło do normy, Manuel zastanawia się częściej nad swoją przyszłością po Brexicie.

> „Jeśli miałbym szukać pracy w Polsce, to na pewno brałbym pod uwagę jedynie Warszawę. Nie widzę swoich szans w małym mieście, z którego pochodzę. Poza tym nie jest ono wystarczająco otwarte.

Chciałby, żeby ksenofobia i nienawiść w Polsce odeszły na dobre. Czuje się Polakiem i chciałby mieć pewność, że będzie mógł w Polsce znaleźć swój bezpieczny dom.

To był ten moment

Gabriela wróciła do Polski w 2017 r., po 12 latach życia w Anglii. Miała możliwość przeniesienia się z biura w Londynie do warszawskiego oddziału tego samego pracodawcy. Wynik referendum nie miał wpływu na decyzję Gabrieli o powrocie. Niemniej jednak upewnił ją, że to dobry moment, by wrócić. Chciała być bliżej rodziny i żyć na wyższym standardzie.

Tutaj stać ją na wynajęcie nowoczesnego mieszkania. Dodatkowo nie wiedziała, czego może się spodziewać jako Polka rezydująca w kraju wychodzącym z Unii Europejskiej. Gabriela zauważa jednak, że powracającym może być trudno na nowo przywyknąć do polskiej mentalności i biurokracji.

> „Zaczynając pracę w Polsce musisz poddać się badaniom medycznym i rokrocznie zajmować się rozliczeniami podatkowymi - tego nie było w Anglii".

Gabriela zaznacza też, że Polacy słyną z narzekania i nieufności do obcokrajowców. Sytuacja ta jednak zmienia się na lepsze – szczególnie wśród młodych, którzy często podróżują. Cieszy ją, że Warszawa przyciąga interesujących ludzi z zagranicy, bo dzięki nim to miasto jest bardziej różnorodne i atrakcyjne.

Konrad Krzysztofik

FASCYNUJĄCA WARSZAWA

Nasz własny Dziki Zachód

Przewodnik Wojciech Gwardys zaprasza czytelników „Głosu Mordoru" do wspólnego odkrywania nieznanych historii warszawskich. Pierwszy spacer już w sobotę 21 kwietnia! Udział bezpłatny.

Nie tylko Ameryka ma w swoich dziejach burzliwy rozdział o Dzikim Zachodzie. Znalazł się też w historii Warszawy. O amerykańskim słyszeli wszyscy, o warszawskim – nawet w Warszawie nie każdy. To zresztą nie dziwi, bo jego bohaterowie z racji swego zajęcia woleli pozostać incognito, a zwykli mieszkańcy, choć z czasem zaczęli odczuwać dumę ze swej małej ojczyzny, byli jednak społecznie odsunięci. Szeryfowie natomiast uznali, że nie ma się czym chwalić. I jak w takich warunkach nie odejść w zapomnienie?

Jednak z tego co było, zawsze coś przetrwa, więc i dziś jeszcze można zobaczyć ślady po warszawskim Dzikim Zachodzie.

Jak to wygląda teraz, będzie można sprawdzić na przechadzce z przewodnikiem w sobotę 21 kwietnia. Spacer ulicami Woli zajmie nam około dwie godziny i będzie przyjemny, więc zapraszam także rodziny z dziećmi. Start z Placu Europejskiego o godz. 11. Nie trzeba się zapisywać – wystarczy przyjść kilka minut wcześniej i podejść do przewodnika, który da się rozpoznać po haśle „Dziki Zachód" trzymanym w widoczny sposób.

Serdecznie zapraszam. Na zdjęciu jedno z miejsc, które zobaczymy i o których opowiem.

Wojciech Gwardys

Wojciech Gwardys

jest przewodnikiem miejskim z oddziału akademickiego Towarzystwa Przyjaciół Warszawy. Stara się ratować przed zapomnieniem wszystko co warszawskie – ludzi, fakty i rzeczy.

Jak popsuć rekrutacyjną rozmowę telefoniczną

W biznesowych kontaktach telefonicznych ważne jest, by wywrzeć na swoim rozmówcy dobre wrażenie. W przypadku telefonicznej rozmowy rekrutacyjnej jest to szczególnie istotne, gdyż końcowe wrażenie otwiera bądź zamyka drogę do dalszych interakcji z firmą. Oto 10 podpowiedzi, jak nie prowadzić takich konwersacji.

1. Nie rozpoznaj firmy

To na dobry, a w zasadzie bardzo zły początek... Odbierając telefon nie wiesz, kto do Ciebie dzwoni. To słychać w głosie. Może również zdarzyć się tak, że spodziewasz się, kto może zadzwonić, ale nie zrozumiesz nazwy firmy. Lepiej dopytać. Jeśli jednak okaże się, że pamięć Cię zawodzi, spróbuj jeszcze powiedzieć coś, co potwierdzi, że czekałeś na telefon. Niestety, wiele osób o tym zapomina i rozmowa toczy się w taki sposób:

– Dzień dobry, firma X, dzwonię w związku z Pana CV, które do nas trafiło.

– Jaka firma?

– Firma X.

– A o co chodzi?

– O rekrutację.

– Aaaa, a na jakie to stanowisko było?

Po takim początku rozmowy, trudno liczyć na jej pomyślny koniec…

2. Ukryj się z telefonem

Osoba dzwoniąca nigdy nie wie, w jakiej sytuacji zastanie swojego rozmówcę. Pół biedy, jeśli rekruter wyrwie Cię ze snu – jeśli praca ma dla Ciebie znaczenie, szybko staniesz na nogi. Gorzej, jeśli telefon odbierasz w pracy, a chcesz ukryć, że bierzesz udział w procesie rekrutacji. Masz wyjście z sytuacji. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby poinformować, że okoliczności nie są sprzyjające i zaproponować inny termin rozmowy. Ważne, aby dopytać rekrutera, w jakich godzinach rozmowa jest dla niego możliwa. Rekruter pracuje tak samo jak każdy inny człowiek – w określonych godzinach – i niekoniecznie chce rozmawiać o godzinie 20.

3. Nie zwracaj uwagi na czas – własny i rekrutera

Większość rozmów telefonicznych trwa od 15 do 30 minut. Ze względu na to, że to rekruter dzwoni, on także powinien kończyć rozmowę. Bywa jednak, że inicjatywa zakończenia wychodzi od Ciebie. To źle wpływa na Twój wizerunek. Podobnie dzieje się również, kiedy zachowujesz się tak, jakbyś nie miał świadomości upływu czasu. Rozwlekasz wypowiedzi, wtrącasz anegdoty, zagadujesz rekrutera na tematy niezwiązane bezpośrednio z pracą. Nie zdobywasz w ten sposób punktów – w tej rozmowie nie o to chodzi.

4. Udzielaj niezdecydowanych i rozwlekłych odpowiedzi

Optymalny czas odpowiedzi na pytanie to ok. 1-2 minuty. Odpadają wszelkie skrajności: monosylaby, kwieciste poematy i wtrącenia nie na temat. Jeśli rekrutera coś zaciekawi, sam dopyta.

5. Użyj liczby mnogiej: „My zrobiliśmy"

Na wielu stanowiskach umiejętność pracy w zespole jest niezwykle istotna. Jednak bardzo często kandydaci, którzy pracowali zespołowo, mają tendencję do używania zaimka „my" zamiast „ja". Rekruter słyszy: „Wprowadziliśmy produkt na rynek", „Wykonaliśmy plan w krótszym terminie", „Zdobyliśmy kilku dużych klientów". Taki sposób wypowiedzi podkreśla, że ważny jest dla Ciebie duch zespołu, ale jednocześnie nie daje żadnych informacji, co z tego wszystkiego było Twoją zasługą. Podczas rozmowy staraj się więc skupiać na swoich osiągnięciach, a tam, gdzie to konieczne, dodawaj informacje o pracy zespołowej.

6. Nie podawaj konkretnych przykładów

Dla firm ważne są metody pracy, jakie stosuje kandydat, w jaki sposób radzi sobie z konfliktem lub z trudnymi sytuacjami. Często przez telefon proszą o opisanie jakiejś konkretnej sytuacji z życia zawodowego (np.„Proszę opowiedzieć, w jaki sposób pozyskał Pan swojego największego klienta"). Rekruter w tym pytaniu oczekuje konkretnej odpowiedzi, tymczasem kandydaci uciekają w ogólniki, mówiąc: „Najczęściej klientów pozyskuję poprzez..." – to nie jest właściwa odpowiedź. Jeśli pytanie jest konkretne, trzeba udzielić konkretnej odpowiedzi.

7. Nieumiejętnie sprzedaj wady ukryte

Podczas rozmowy telefonicznej zadaniem kandydata jest po prostu sprzedać się rekruterowi. Tak działa ten prosty mechanizm. Trzeba to jednak zrobić z głową. Wyobraź sobie, że coś kupujesz. Wolisz znać słabe strony produktu, czy odkrywać je w trakcie użytkowania? Wybór kandydata do pracy nie jest równoznaczny z zakupem pralki w sklepie. Każdy rekruter czy szef wie, że poza umiejętnościami i kompetencjami kandydata, ma on również sporo obszarów, w których może się rozwijać. Jeśli więc rekruter pyta, co kandydat chce w sobie rozwinąć, albo jakie ma słabe strony, oczekuje od kandydata szczerości połączonej ze znajomością samego siebie.

8. Nie rozmawiaj w obcym języku

Na niektórych stanowiskach konieczna jest znajomość języka obcego. Niestety, doświadczenia z kandydatami uczą rekruterów, że poziom umiejętności językowych wpisywanych do CV odbiega od rzeczywistości – nie w górę... Weryfikują zatem deklarowane umiejętności z rzeczywistymi. Odmowa z reguły zakończy rozmowę.

9. Przemilcz oczekiwania finansowe

Można się spodziewać, że padnie pytanie o oczekiwania finansowe. Najczęściej powodem tego jest określony budżet na zatrudnienie pracownika. Na takie pytanie trzeba więc odpowiedzieć. Nawet jeśli nie znasz do końca zakresu obowiązków i trudno Ci określić wynagrodzenie. Zawsze możesz podać pewien przedział, zaznaczając że konkretna kwota zależy od zakresu obowiązków i innych warunków pracy. Brak odpowiedzi bądź próba odbijania piłeczki najczęściej powodują, że do spotkania już nie dojdzie.

10. Koniecznie zapytaj „I jak mi poszło?"

Nawet najlepsze wrażenie po rozmowie może zostać nadszarpnięte, jeśli kandydat na koniec rozmowy rzuci od niechcenia: „No i jak mi poszło?". Po pierwsze, rekruter najczęściej nie ma jeszcze wyrobionego zdania, po drugie nie zawsze osoba, która dzwoni, jest główną odpowiedzialną za rekrutację i nie podejmuje decyzji w kwestii dalszego etapu. Lepiej powstrzymać się od takiego pytania – odpowiedzi i tak nie będzie, a do stracenia jest zbyt wiele.

Materiał specjalnie dla „Głosu Mordoru" przygotował portal infopraca.pl

SZAMA NA ASAPIE

Tym razem już nie fundujemy oksymoronicznej „Szamy na ASAPie" – przygotowanie dzisiejszego dania potrwa krócej niż tego w zeszłym miesiącu. Dziś czytelnikom „Głosu Mordoru" przepis na coś specjalnego zdradzają szefowie kuchni Radisson Blu Centrum Hotel. Chodzi o szparagi, ale nie takie zwykłe...

ZIELONE SZPARAGI

Z HOLENDERSKIM SOSEM PIECZONE W SZYNCE SERANO

CZAS PRZYGOTOWANIA: OKOŁO 1 GODZINY

Adam Ciupka – Sous Chef i Krzysztof Bogucki – Head Chef, Radisson Blu Centrum Hotel

Składniki na 2 porcje:

- 1 pęczek zielonych szparagów
- 1 litr wody
- 0,5 litra mleka
- 1 łyżka soli
- 1 łyżka cukru
- 100 g szynki serano (8 plasterków)

Sos holenderski:

- 3 żółtka
- 3 łyżki soku z cytryny
- 100 g masła
- szczypta soli

PRZYGOTOWANIE:

Szparagi

- Odłam zdrewniałe części szparagów.
- Wodę z mlekiem solą i cukrem zagotuj i wrzuć wcześniej przygotowane szparagi na ok. 10 min.
- Następnie przełóż szparagi do wody z lodem.
- Tak przygotowane szparagi połącz po 3 sztuki i owiń w 1 plasterek szynki.
- Owinięte szparagi ułóż na blasze wyłożonej papierem do pieczenia i piecz przez 10 min w rozgrzanym do 200°C piekarniku.

Sos holenderski

- Żółtka połącz z sokiem z cytryny za pomocą blendera.
- Rozgrzej masło.
- Wlej gotujące się masło do masy z żółtek ciągle blendując
- Dopraw solą.

Przygotowane szparagi serwuj z sosem holenderskim. Opcjonalnie posyp swoimi ulubionymi świeżymi ziołami.

Smacznego!

REKLAMA

GOING. POLECA KULTURALNIE

Wiosna!

Going.

Omar Souleyman, sobota 14 kwietnia, Smolna [Smolna 38]

Po świetnie przyjętym występie w ramach afteru World Wide Warsaw, do stolicy ponownie przyjeżdża najsłynniejszy syryjski wodzirej. Dobry znajomy Four Teta i Modeselektor przemieni parkiet Smolnej w gorący bliskowschodni kocioł. Przednia zabawa gwarantowana – gotowi na prawdziwe arabskie szaleństwo?

99 określeń na pustkę, czwartek 26 kwietnia, Nowy Teatr [Madalińskiego 10/16]

„Bohaterami gościnnego przedstawienia z Estonii są dwaj rycerze, których wysłano by bronili podstawowych wartości, choć sami nie wiedzą, czym one są. W efekcie oddzielają się od super-ego, które ich tam wysłało, i imitują tylko jego zachowania i dźwięki". Tak prezentuje się krótki opis kolejnego spektaklu, który będziemy mieli okazję oglądać w Nowym Teatrze. Prawda, że brzmi intrygująco? Przekonajcie się o tym osobiście i koniecznie wybierzcie się na to widowisko!

Sean Nicholas Savage, piątek 27 kwietnia, Grizzly Gin Bar [Wilcza 46]

Kanadyjski ulubieniec polskiej publiczności wraca na mini-tournée po naszym kraju. Jednym z przystanków będzie warszawski Grizzly Gin Bar, który w przeszłości gościł już wielu świetnych muzyków. Koncerty Seana Nicholasa to pokaz artystycznej nieprzewidywalności, prawdziwego poświęcenia się wykonywanej sztuce i szczery, wypełniony uczuciami performance.

Ach Europa: „Reporterzy bez Granic", piątek 20 kwietnia, Goethe-Institut [ul. Chmielna 13 A]

„Ach Europa!" to tytuł cyklu wydarzeń zaplanowanych przez Goethe-Institut na wiosnę tego roku, promujących wspólną Europę ze świadomością niedoskonałości tej konstrukcji. To spotkania, wykłady, projekcje filmów i dyskusje pozwalające zyskać szersze spojrzenie na problemy migracji, wielokulturowości i społecznej wspólnoty. 20 kwietnia spotkanie pt. „Reporterzy bez Granic".

Bez okularów. Wystawa zdjęć Jarka Madejskiego, do 5 maja, NEY Gallery & Prints [Spokojna 5]

Jarek Madejski sięga po aparat i pokazuje świat, który roztacza się przed człowiekiem dotkniętym problemami ze wzrokiem po zdjęciu okularów. Na prezentowane przez niego zdjęcia składają się wygładzone linie, miraże, świetlne plamy, niepewność i niedopowiedziana zmysłowość. Jak mówi sam artysta: „»Bez okularów« to opowieść o codziennym życiu zapisanym przy pomocy plam, świateł i kontrastów układających się w całość dopiero z pewnego dystansu".

Więcej wydarzeń w mobilnej aplikacji Going. oraz na goingapp.pl

TEATR POLONIA

OCH TEATR

FUNDACJA NA RZECZ KULTURY

1% PODATKU
KRS: 0000210799

Dziękujemy za wsparcie!

WARSZAWA ZA FREE

W kwietniu gratis

waw4free

Koncert Kapital & Richard Pinhas
13 kwietnia, godz. 20 (wejściówki od 19.30)
Narodowy Instytut Audiowizualny, ul. Wałbrzyska 3/5
Z cyklu FINA na ucho, darmowy koncert w ramach ogólnopolskiej trasy.

Józef Robakowski. O Witkacym
Wystawa dostępna do 5 maja 2018, od wtorku do soboty, w godz. 12-19.
Fundacja Profile, ul. Franciszkańska 6
Wystawa w ramach drugiej edycji cyklu „Archiwa sztuki".

Obrazy z nici – warsztaty String Art
12 kwietnia, godz. 18
Filia Bielańskiego Ośrodka Kultury, ul. Estrady 112
Technika wyplatania obrazów z kolorowej włóczki, muliny lub nici na papierze, ścianie, ramkach lub deskach.

Pokaz filmu „Nausicaa z doliny wiatru"
21 kwietnia, godz. 12.30
Kino „Świt", Wysockiego 11
Pokaz anime w ramach cyklu Mały DKF.

Spotkanie z Żywą Książką – marketing i PR
14 kwietnia, godz. 11
Klubokawiarnia Pożyteczna, Nowy Świat 58
Luźne spotkanie na temat pracy w marketingu i PR.

Więcej darmowych wydarzeń na waw4free

GŁOS MORDORU

INFORMACJE Z GAZETY „GŁOS MORDORU" SĄ ANALIZOWANE PRZEZ PRESS-SERVICE MONITORING MEDIÓW

WYDAWCA: AUTO FIX
BARTOSZ LAS-OPOLSKI
Al. Jerozolimskie 247
05-816 Michałowice

wydanie on-line:
WWW.GLOSMORDORU.PL

WYDAWCA
REDAKTOR NACZELNA
SISI LOHMAN

redakcja językowa i łamanie
TOMASZ TUREK

skład graficzny
IGOR KAŁUŻA

napisz do nas: redakcja@glosmordoru.pl

Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń i reklam oraz może odmówić ich zamieszczenia, jeśli ich treść lub forma pozostają w sprzeczności z prawem, linią programową i charakterem pisma oraz zasadami publikacji ogłoszeń i reklam.

KUCHNIA
za ścianą

Nasza filozofia

- Wszystkie Dania Dnia dostępne są w formule jedzenia na wagę w stałej cenie **2,69 zł / 100 g**
- **Ty decydujesz** co i w jakich ilościach znajdzie się na Twoim talerzu. Możesz dowolnie łączyć wszystkie dania i dodatki.
- Gotowych potraw nigdy **nie mrozimy**.
- Gotujemy ze **świeżych, sezonowych składników,** nie używamy sztucznych dodatków.
- Nasze **menu zmienia się codziennie**. Zawsze dostępne są zarówno dania mięsne jak i wegetariańskie.

TU JESTEŚMY

1. Terespolska 4
2. Kasprzaka 24
3. Al. Jerozolimskie 109
4. Madalińskiego 49/51
5. Malczewskiego 52
6. Konstruktorska 7
7. Postępu 10
8. Bukowińska 12
9. Kierbedzia 8
10. Puławska 361
11. Al. Komisji Edukacji Narodowej 61
12. Popularna 71
13. Kijowska 1
14. Pl. Hallera 6

www.kuchniazasciana.pl
www.facebook.com/kuchniazasciana